



KTO WYGRA?

...oto jedyna troska tych maleństw, które spędzają w przedszkolu szczęśliwe godziny. Jakże odmienne dzieciństwo mieli przed 50 laty synowie i córki robotników fabryki w Pabianicach! Patrz: „Fortuna rodu Kruschów” na stronie 10 i 11.

Fot. „ŚWIAT” — W. Prażuch

ODKŁADAMY na bok gazetę, przeczytawszy komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego na rok 1953. Staramy się ogarnąć myślą olbrzymi zasięg spraw wymienionych w tym komunikacie. Szukamy ułatwienia dla wyobraźni w pierwszej z brzegu przedwojennej książce, dotyczącej Polski owych czasów.

Otwieramy na przykład książeczkę zatytułowaną „Obraz Polski dzisiejszej“, wydaną przez księgarnię Arcta w roku 1938. Z książeczki tej, niewiele szukając, dowiadujemy się, że ilość izb mieszkalnych, wybudowanych w Polsce w roku 1932, wynosiła 34.400. Czyli o przeszło sto tysięcy izb mniej niż w roku 1953.

Nasz współczesny komunikat podkreśla ze specjalnym naciskiem duże osiągnięcia, które przyniósł rok ubiegły w zakresie podniesienia wydajności pracy ludzkiej, rozwijającej się na podstawie wprowadzenia nowej techniki, podniesienia poziomu kwalifikacji pracowników i rozwoju socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Wydajność jednego robotnika w przemyśle wzrosła o około 10,6% w porównaniu z rokiem 1952, a w budownictwie — o około 13%. Z tego wynika, jak bardzo chcemy dużo, coraz więcej produkować, coraz więcej budować.

KSIĄŻECZKA przedwojenna mówi o czymś zupełnie odwrotnym. Mówi ona na przykład, że cegielnie w Polsce w roku 1936 wyprodukowały miliard 615 milionów sztuk cegieł, podczas gdy ich zdolność produkcyjna wynosiła około trzech miliardów cegieł. Podobnie z cementem. Produkcja cementowni w Polsce w roku 1936 wyniosła niewiele ponad milion ton, a zdolność produkcyjna tychże cementowni była dwukrotnie wyższa; mogły one dawać rocznie krajowi dwa miliony ton cementu.

Czyżby to oznaczało, że Polsce owego czasu nie trzeba było więcej cegieł i cementu niż dawały cegielnie i cementownie, pracujące na zmniejszonych obrotach? Czy to oznacza, że w Polsce wówczas nie trzeba było więcej mieszkań? Ze wszystkie potrzeby ludzkie w tej dziedzinie były dostatecznie zaspokojone?

Burżuazyjny, kapitalistyczny ekonomista, Czesław Klarnier, w swej pracy o polityce mieszkaniowej, ogłoszonej w roku 1930, stwierdzał, iż w przeciągu niecałych lat dziesięciu powstał w Polsce niedobór mieszkaniowy, wynoszący 400 tysięcy izb. Zbudowanie tej ilości izb dałoby powrót w dziedzinie stosunków mieszkaniowych do stanu z roku 1921. A ten stan, jak wiemy, nie był idealny. Przeciwnie, sytuacja mieszkaniowa w Polsce była jedną z najgorszych w Europie.

A więc było tak: wystarczająca ilość cegielni i cementowni, a mieszkań budowano za mało. To

może brakło ludzi do pracy? No cóż, bezrobotnych było w owym czasie, lekko licząc, około miliona. Liczba zatrudnionych w budownictwie na obszarze objętym przez Polskę międzywojenną przed pierwszą wojną światową wynosiła około 80.000. W szczytowym roku kapitalistycznej pomysłowości w Polsce w roku 1928 liczba robotników budowlanych wynosiła 52.000. A w roku 1935 w przemyśle budowlanym pracowało 19.048 ludzi.

O tym wszystkim informuje książeczka „Obraz Polski dzisiejszej“, a raczej już tej niedawnej, a tak dawnej — wczorajszej.

A WIĘC w tamtej Polsce było tak: dość było gliny i wapnia, by dać wystarczającą ilość surowca cegielniom i cementowniom, by pracowały pełną parą. Dość było ludzi, mogących te cegły i cement wykorzystywać przy wznoszeniu nowych domów. Bezdomni z baraków, spod mostów, ludzie stłoczeni po dziesięć osób w najstraszliwszych norach wielkomiejskich „Pekinów“, czyli olbrzymich domów, złożonych z jednoizbowych mieszkań (zna „Pekin“ warszawska Wola, Mokotów i Praga) chętnie poprawiliby swą sytuację mieszkaniową. Ale mieszkań nie było. Bez pracy znajdowały się coraz liczniejsze rzesze robotników cegielni i cementowni, coraz liczniejsze rzesze murarzy, stolarzy, cieśli, instalatorów, elektryków i szklarzy.

Miała ta Polska międzywojenna glinę i wapien, cegielnie nawet i cementownie, ludzi do pracy zdatnych i potrzeby ponad miarę niezaspokojone. Jakże to się dzieje, czym to się dzieje, że dziś niecierpliwie dobywamy — wapien i glinę, mnożymy ilość cegielni i cementowni, że ludzi nam do pracy za mało, a ich praca za leniwa, że ją ustokrotnieamy maszynami i ambitnym współzawodnictwem? Czemu to dziś ludziom daje się o sto tysięcy izb rocznie więcej, niż dawało się wówczas? Wszystko wówczas było: surowiec, ludzie i ludzkie potrzeby. Ale bogactwa kraju nie należały wtedy do narodu.

Ustrój kapitalistyczny nie mógł być organizatorem życia ludzkiego, życia społecznego, życia gospodarczego. Ludziom, narodowi trzeba nie tylko surowca w ziemi, maszyn i niezaspokojonych potrzeb, by praca się w rękach paliła, by rósł kraj, by rósł życie. Potrzeba było narodowi zwycięstwa, wielkiej myśli i idei, klasy mądrej i twórczej, stojącej u steru władzy w państwie. Potrzeba było natchnienia socjalizmu, by surowce, maszyny i ludzie, by wszystko to razem zsumowane nieść poczęło nowe życie ludziom.

To wszystko, co w komunikacie czytamy, dała nam nasza własna praca, pomoc socjalistycznych przyjaciół i wielkie socjalistyczne natchnienie, którym ojczyzna nasza żyje i oddycha.

JAN SZELĄG



Z OKIEN Presse-Zentrum na Thaeimann-Platz rozciąga się widok na ogromne, puste pole. Kiedyś stały tu budynki, potem piętrzyły się zwały gruzów. Gruzy uprzątnięto i tylko w dali rysują się sylwetki wypalonych ruin, sterczących samotnie na piascu. Widok dobrze znany z Warszawy. Tu jednak nabiera on specjalnej wymowy. Miasto, w którym przez tyle lat rozbrzmiewał charczący głos Adolfa Hitlera, miasto, którego ulice drżały niegdyś pod butami hitlerowskiego Wehrmachtu, wyruszającego stąd na podbój świata. A zarazem miasto, w którym huk dział radzieckich w maju 1945 zwiastował ostateczny upadek Trzeciej Rzeszy i niesławny koniec jej Fuehrera.

Złowrogie cienie strasznej przeszłości migają na ekranach dwóch tuzinów kinoteatrów zachodniego Berlina, gdzie teraz właśnie wyświetla się film o Hitlerze. „Bis 5 nach 12“ — do pięć minut po dwunastej — brzmi tytuł tego niesamowitego widowiska, wydobywającego z mroków zapomnienia obraz tamtych lat. Mniejsza o tendencję filmu. Cokolwiek chciał osiągnąć autor, nie uniknął jednego: ukazania odrażającej fizjonomii niedoszłych zdobywców świata i ich haniebnego końca.

W tym to właśnie mieście, na tle wszędzie jeszcze widocznych śladów wojennego zniszczenia, obraduje dziś konferencja ministrów spraw zagranicznych czterech wielkich mocarstw. Są tu jednak ślady znacznie bardziej dojmujące, aniżeli ujmę i szczyrby w linii zabudowy. Wdajcie się w rozmowę z pierwszym lepszym berlińczykiem, a dowiecie się natychmiast o udrękach życia w mieście okupowanym przez cztery mocarstwa, przeciętym przez sam środek kordonem podziału na dwa sektory — demokratyczny i zachodni — i rozdartym ekonomicznie dwoma systemami walutowymi oraz granicą celną. To wszystko w skali tysiąckrotnie większej odnosi się do całego kraju, tak samo podzielonego, tak samo rozdartego. Nie dziwicie się więc, że każdy spotkany Niemiec, wszystko jedno, czy ze wschodu czy z zachodu — dowie działy się, że jesteście korespondentem zagranicznym, który przybył jako sprawozdawca na konferencję berlińską — zacznie natychmiast mówić o sprawie dlań najboleśniej — o podziale swego kraju, i o sprawie dlań najpilniejszej — o zjednoczeniu Niemiec. Jeśli jesteście Polakiem, zrozumiesz natychmiast historyczną wymowę tego problemu. Pochodzisz wszak z kraju, który przez półtora wieku rozdarty był kordonem trzech zaborów. I od razu pojmujesz, że stan taki jest nie do u-

W POŁOWIE DRUGIEGO TYGODNIA

STEFAN ARSKI

trzymania. Zwłaszcza dziś, w epoce potężnych ruchów narodo-wyzwoleń- czych na całym świecie.

Nie trudno też zorientować się w tym kraju ku czemu dąży i czego pragnie prosty człowiek po obu stronach linii strefowej. Rzecz komplikuje się dopiero, gdy zaczynasz słuchać wynurzeń zachodnio-niemieckich polityków, zwłaszcza tych, którzy związani są z rządzącą w Bonn grupą Adenauera. Tam, rzecz prosta, także mówi się głośno o zjednoczeniu. Nie ma dziś polityka niemieckiego, który by odważył się mówić inaczej. Ale o jakim zjednoczeniu? Koła rządzące w Bonn uczyniły ogromny wysiłek, by zaciemnić istotę sprawy i zdeorientować przeciętnego wyborcę zachodnio-niemieckiego. Prasa adenauerowska, radio bońskie, cały olbrzymi aparat zachodnio-niemieckiej propagandy pracuje z jednym jedynym nastawieniem: zataić przed ogółem mieszkańców zachodnich Niemiec prawdę o zjednoczeniu kraju.

A prawda ta przedstawia się właściwie nader prosto. Rząd zachodnio-niemiecki związał się od dawna z mocarstwami zachodnimi układami w Bonn i Paryżu, oddając kraj na lat 50 w pacht amerykańskiej polityce. Podpisał z góry cyrograf isticie diabelski, czyniący z Niemiec zachodnich niewolnika amerykańskich planów agresji. Dywizje wskrzeszonego Wehrmachtu stanowią mają jądro armii zwanej europejską, a terytorium Niemiec zachodnich — wielki poligon tej armii, jej arsenał i bazę wypadową. To wszystko zapisał Adenauer swym waszyngtońskim patronom, a ci ze swej strony obwarowali zapis w taki sposób, by Niemcy zachodnie nie mogły się zeń przez pół stulecia wyzwolić. Sankcje, zawarte w deklaracji trzech mocarstw zachodnich z maja roku 1952, są niedwuznaczne. Próba wyswobodzenia się Niemiec zachodnich z pęt układu o armii europejskiej uważana będzie za zagrożenie bezpie-



PRASA zachodnio - niemiecka po części, a prasa zachodnio-berlińska w całości robią nadal atmosferę pesymizmu wokół obrad Wielkiej Czwórki. I nie tylko wokół samych obrad. Również wokół ludzi, którzy biorą udział w konferencji, lub przyjechali na nią jako sprawozdawcy. Skoro „krucjata pesymizmu” poniosła już w pierwszym tygodniu porażkę, prasa adenauerowska zaczęła z innej beczki. Zaczęła więc pajączyć się kłamstw wokół osób i wydarzeń, związanych z konferencją berlińską.

Ataki tej prasy zwracają się oczywiście albo przeciw członkom delegacji radzieckiej, albo przeciw dziennikarzom z krajów demokratycznych, ale i Francuzom dostaje się niemało, zwłaszcza tym, którzy na łamach swych dzienników powiadają otwarcie, co myślą o „armii europejskiej”, albo o mąceniu atmosfery berlińskiej przez nieproszonych „obserwatorów” pana Adenauera.

I tak np. weźmy sprawę przyjęcia dla prasy zagranicznej, jakie wydał rzecznik prasowy delegacji radzieckiej, L. F. Iljczew. Wszystkim w Berlinie wiadomo, że na przyjęciu, które upłynęło w wyjątkowo przyjemnej atmosferze, obecnych było chyba ponad 200 osób. A tymczasem prasa adenauerowska, która oczywiście na przyjęcie nie została zaproszona — już nazajutrz rozpoczęła kolportować swoje kłamstwa. I tak tygodnik hamburski „Die Zeit” iże w żywe oczy, pisząc że „Iljczew zaprosił 30 zachodnich dziennikarzy, ale pojawili się tylko Kingsbury Smith i Henry Shapiro, Reginald Parker i Clark, jak również trzech niemieckich dziennikarzy...”. A tymczasem na przyjęciu tym byli obecni wszyscy najwybitniejsi korespondenci świata, jacy przybyli do Berlina. Te bzdurne wiadomości, mające oczywiście swój głębszy cel, kolportowały rozmaite gazety bońskie, aż pewnego dnia naczelny korespondent „New York Times”, C. L. Sulzberger, który sam był obecny na przyjęciu, zadzwonił do dyrektora bońskiej agencji DPA, Fritz Saengera, domagając się od niego położenia kresu tym — jak się wyraził — „obraźliwym plotkom”. Amerykanin dał znak i wszystko ucichło.

Nie mniejsze bzdury kolportuje bońska prasa o dziennikarzach z krajów demokracji

czeństwa USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Adenauer tej klauzuli się nie boi. Wiadomo, że on i układ ogólny — to jedno. Nic więc dziwnego, że jest najbardziej oddanym sojusznikiem Waszyngtonu w sprawie Niemiec i armii europejskiej.

Tym samym zaś jest przeciwnikiem zjednoczenia Niemiec. Popłoch, jaki zapanował w kołach rządzących w Bonn, gdy minister Mołotow napomknął tylko o możliwości przeprowadzenia ogólnoniemieckiego referendum w sprawie układów o armii europejskiej, jest wymownym świadectwem pozycji Adenauera. Ani jego, ani całej tej kliki wielkich bankierów, wielkich przemysłowców, byłych generałów i panozących się w Bonn hitlerowców nie stać przecież na postawienie przed narodem niemieckim tego prostego pytania: Czy pragniecie traktatu pokojowego i zjednoczenia Niemiec, czy wolicie armię europejską i utrwalenie rozbitcia Niemiec?

I tu stanowisko Adenauera zbiega się ze stanowiskiem USA. Polityków waszyngtońskich tak samo nie stać na zapytanie narodu niemieckiego o tę najistotniejszą dlań sprawę. Ileż wysiłku i starań poświęcił Mr Dulles, by udowodnić, iż jest zwolennikiem wolnych wyborów w Niemczech i pragnie, by naród niemiecki mógł swobodnie wyrazić swą wolę. Nie dodał tylko, że granicę tej swobody stanowi układ o armii europejskiej. Tu naród niemiecki nie ma już — zdaniem Mr Dullesa — nic do powiedzenia, bo sprzedany został z góry na lat pięćdziesiąt, szkoda każdego słowa. Jakże by więc mógł się teraz zgodzić, by ten właśnie problem stał się przedmiotem powszechnego głosowania w całych Niemczech?

Stanowisko Mr Dullesa podzielają pp. Eden i Bidault. Zwłaszcza ten ostatni nie szczędził wysiłku, by okazać swój entuzjazm dla układu ogólnego. Paradoks sytuacji polega na tym, że o ile pp. Dulles i Eden przemawiają w imieniu krajów, które same do układu o armii europejskiej nie należą, o tyle pan Bidault reprezentuje kraj, którego rząd wprawdzie złożył swój podpis pod układem o armii europejskiej, ale którego parlament uparcie nie chce tego układu ratyfikować. A w miarę, jak minister Bidault angażuje się na rzecz tego układu, opinia publiczna Francji — od lewicy do prawicy — z coraz większą stanowczością odrzuca myśl o jego przyjęciu.

Dokończenie na str. 23

KULISY i KULUARY

MARIAN PODKOWIŃSKI

ludowej. Np. dziennik „Der Abend” (organ polakożercy Kaisera) podał do wiadomości, że dziennikarze polscy przenieśli się do hoteli zachodniego Berlina. A tymczasem wszyscy mieszkamy w pięknym i wygodnym hotelu „Johannishof” w demokratycznym sektorze Berlina. Kiedy spotkałem korespondenta tego adenauerowskiego świstka, zwróciłem mu uwagę na „brak czystości” w podanej „informacji”. Młody człowiek spiekl raką i wydukał: „My o tym sami wiemy, ale rozumie pan...”. Takie czasy!

Nie mniejszą inicjatywę wykazuje propaganda bońska na odcinku niemieckim. Ułobionym tematem tych gadzinów w okresie konferencji jest opisywanie wschodniego Berlina jako pustyni, gdzie ludzie głodują, chodzą obszarpani, marzną i marzą o Adenauerze. Oczywiście, że tego rodzaju „roboty” mogłaby mieć swoje znaczenie, gdyby nie przypadek, że do Berlina przyjechał tysiąc zagranicznych korespondentów, którzy z natury rzeczy oglądają również i wschodni sektor Berlina. Przede wszystkim, już choćby dlatego, że można tu tanio i smacznie zjeść, że są takie kawiarnie, jak „Warszawa”, „Praga” czy „Budapest”, gdzie przy świetnej muzyce i dobrym winie można spokojnie

pogwarzyć i odpocząć po nerwowej pracy dziennikarskiej. „Jeżeli szukamy jakiegoś dziennikarza amerykańskiego — powiada o mnie telefonistka z „Presse Zentrum” — i nie znajdujemy w hotelu, to dzwoniemy do restauracji „Newa”. Na pewno siedzi tam i je kawior z kaukaskim winem...”

Korespondent londyńskiego „Timesa” powiedział nam: „Niektórzy z nas pytali się naszych kolegów z Berlina, czy oni czasem nie zwariowali, kiedy opisywali w korespondencjach ponure i beznadziejne życie na wschodzie”. Korespondent „Timesa” wybrał się bowiem ze swymi londyńskimi kolegami na spacer po wschodnim Berlinie. Był zaskoczony wieloma rzeczami, o których nie wiedział, że w ogóle tu istnieją. Na próżno szukali oberwanych i wygłodniałych ludzi, pustych sklepów, opuszczonych ulic i domów. Przeciwnie, ze zdziwieniem odkryli oni, „coś imponującego” — jak się wyrazili — w rozmachu Alei Stalina, widzieli pełne sklepy kupujących — czego nie można np. powiedzieć o zachodnim Berlinie — i sami kupili masę upominków, głównie dlatego, że są znacznie tańsze niż w zachodnim Berlinie.

Oczywiście, że korespondenci angielscy i francuscy napisali o tym do swoich gazet. I zrobił się szum. Propaganda bońska, dyrgowana obecnie z berlińskiego Hotelu Am Zoo (gdzie siedzi sztab dywersantów Adenauera) dała znak do ofensywy. Rewolterowa prasa zachodnio-berlińska, a przede wszystkim szczekaczki — RIAS i IWDR — zaczęły trąbić: „Panowie, to wszystko tylko łasada. To tylko wieś potemkinowska!” Ale co dobre było przed kilkoma miesiącami, zawodzi w momencie, kiedy Berlin pełny jest gości z całego świata, dyplomatów, polityków i dziennikarzy. Trudno jest kłamać w żywe oczy, kiedy ludzie swobodnie spacerują po Alei Stalina, piją kawę w „Cafe Warszawa” albo wino w „Cafe Budapest”. Rozumiemy troski adenauerowskich pismaków, ale prawdy dłużej ukryć nie są w stanie. Biedacy!

Dokończenie na str. 23

PAMIĘTAMY O ZBRODNIACH HITLERYZMU

STANISŁAW ZIELIŃSKI
pisarz

Jesteśmy pokoleniem, któremu nie trzeba tłumaczyć, co to niemiecki faszyzm. Nowy krój mundurów, w jakim ubiera się dziś esesmanów, nikomu nie zamylał oczu. Kogo nie spętała, niezależnie od różnicy światopoglądów, rozśmieszy się w głos: „Demokratyczne Niemcy z hitlerowską armią?”. Rozśmieszy się człowiek i od razu poważnieje. Bo u nas w Polsce wspomnienia są zbyt świeże, zbyt wiele jeszcze śladów hitlerowskiego hulania. Nie ma chyba w naszym kraju ani jednej rodziny, którąby te wspomnienia oszczędziły.

Z przemundurowanymi esesmanami mogą kumać się tylko ci, którzy tyle mają wspólnego z polskością, co Kesselring i jego opiekunowie. Tupot hitlerowskiego żołdactwa jeszcze dźwięczy nam w uszach i nie chcemy go usłyszeć ponownie. Wystarczy spojrzeć wstecz, by przypomnieć sobie obozy, łapanie, egzekucje. Przypominam sobie „komenderówkę”, na której trzymano jeńców w piwnicy zalanej wodą, chcąc zmusić ich do „dobrowolnej pracy” w cywilnym ubraniu. Mam również w pamięci widok obozu jeńców radzieckich, gdzie mężczyzna wysokości 1.80 m. ważył 36 kilogramów. Widziałem obóz kobiet — żołnierzy. Po gorącej łaźni wycpędzali je hitlerowcy na mroź. 4000 kobiet zmarło w ciągu zimy. Czyż trzeba przypominać jeszcze? Iluż ludzi w Polsce widziało i pamięta więcej?

Przekraczając granice III Rzeszy, oddziały wojsk angielskich stawiały takie tablice: „Wkraczasz w granice Niemiec. Koniec cywilizowanego świata”. I oto, na fundamentach faszystowskiego barbarzyństwa chce się budować pokój Europy! Wydaje się niemożliwe, by ci, którzy te fundamenty odgrzebali, już zapomnieli, że stały na nich krematoria i kaźnie. A jeśli nie zapomnieli, to czyżby aż tak wiele mieli wspólnego z hitleryzmem...?

Wielu Anglików, Amerykanów i Fran-

cuzów doświadczyło na własnej skórze skutków hitlerowskiej rycerskości. Widziałem, jak myśliwiec niemiecki strzelał do lotników angielskich ratujących się na spadochronach. Odleciał, gdy poszarpane spadochrony rozleciały się w strzępy. Widziałem również, jak pod Kolonią tłum enesdeapowców rozszarpał załogę uszkodzonego bombowca. Wszystko to nazywa się dziś „rycerską walką z godnym przeciwnikiem”. Wielu ludzi z zachodu Europy widziało obozy koncentracyjne, niechże i oni przypominają. To sprawy, w których nie można grzeszyć niepamięcią.

Po raz drugi chcę nas przekonać, że naród niemiecki, to fabrykanci broni i niewyżyci generałowie. Można niemiecki faszyzm nazywać różnie, można go w różny ubierać mundur, ale nie można nas przekonywać, że służy to wszystkiemu sprawie pokoju. Jeszcze za wcześnie. Jeszcze pamiętamy. Każdy rozumie, że muszą istnieć Niemcy jako państwo i naród. Niemcy demokratyczne, zjednoczone, pokojowe. Ale niech nikt nie próbuje nam wmawiać, że najlepszą receptą na pokój jest oliwna gałązka zatknięta w cholewę esesmańskiego buta.

HALINA GĄSIOROWSKA
architekt

Każda niemal nowa budowa w Warszawie rozpoczyna się od uprzątnięcia gruzów. Przypomina nam to bez przerwy, że hitleryzm chciał zetrzeć Warszawę z mapy świata. Dla każdego Polaka jest dziś jasne, że hitleryzm niesie

za sobą zniszczenie wszystkiego, co nam jest drogie. W roku 1945 byliśmy wszyscy świadkami druzgocącej klęski faszyzmu niemieckiego. Trudno było wtedy przypuszczać, że zaledwie w parę lat potem zeikniemy się z daleko posuniętych próbami jego odbudowy wraz z całą hitlerowską machiną wojenną.

To, co się dzieje w Niemczech zachodnich, budzi zrozumiałą niepokój i odruch protestu u wszystkich narodów, które na własnej skórze odczuły potworność wojny.

Wszyscy śledzimy z uwagą przebieg odbywającej się w Berlinie konferencji. Spełni ona nasze oczekiwania, jeżeli doprowadzi do zjednoczenia Niemiec jako państwa demokratycznego, pokojowego — i na zawsze odsunie od milionów ludzi, pragnących pokoju, groźbę wojny. Wtedy będziemy mieć pewność, że resztki gruzów, które wywieziemy z całkowicie odbudowanej stolicy, będą rzeczywiście ostatnie.

STANISŁAWA KOTYŁŁO
woźna

Mąż i dwaj synowie zginęli od razu we wrześniu 1939 r. Ja pracowałam w podziemiu — dla Polski. Znaleźli się tacy, co mnie hitlerowcom sprzedali za butelkę wódki. Od 1942 pędzali mnie od jednego obozu do drugiego: Majdanek, Magdeburg, Ravensbrück... Dzień i noc oddychałam smrodem krematoriów — w nich paliły się moje siostry, moi bracia, dzieci. Nie chcę więcej!

Jedynie co mi pozostało — to najstarszy syn. Musi żyć — nie mogę go stracić. — Jest mi teraz dobrze, nigdy nie miałam takiego spokoju, jak teraz. Mam spokojną pracę i własne mieszkanie.

A tu znowu słysząc, że zbrodniarz faszystowski podnosi łeb.

Ludzie wiedzą, co to faszyzm i wojna — nie dopuszczą do niej. Nikt nigdy więcej nie będzie mordował naszych dzieci, palił ludzi i domów.

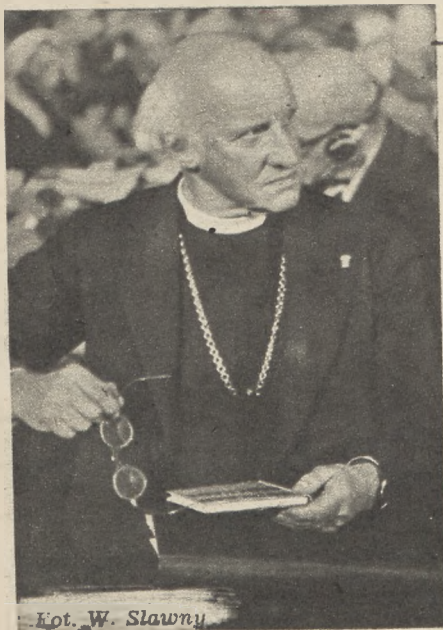
W najbliższych numerach „ŚWIATA” ukaza się m. in. wypowiedzi:

SEWERYNY SZMAGLEWSKIEJ,
GUSTAWA MORCINKA
i JERZEGO ZAGÓRSKIEGO



BUDOWA HUTY IM. BOLESŁAWA BIERUTA, JEDNEJ Z IMPONUJĄCYCH BUDOWLI PLANU 6-LETNIEGO

Fot. W. Sławny



Fot. W. Sławny

Hewlett Johnson

Dr Hewlett Johnson, dziekan katedry w Canterbury, kanonik kościoła anglikańskiego, który niedawno obchodził 80 rocznicę swoich urodzin, należy do czołowych działaczy Ruchu Obróńców Pokoju w kręgach kapitalistycznych. Duchowny, dziennikarz, geolog, polityk i pisarz w jednej osobie, całe swe życie poświęcił walce z niesprawiedliwością społeczną, o prawdę i pokójce współżycie między narodami. Wbrew konserwatyzmowi reakcyjnej hierarchii kościelnej Wielkiej Brytanii, Hewlett Johnson od 20 lat słowno i piórem krzewi w społeczeństwie angielskim przyjaźń dla Związku Radzieckiego. Wielokrotnie wizyty w Związku Radzieckim dostarczyły mu materiału do licznych książek i artykułów na temat wspaniałego rozwoju Kraju Rad. Najgłośniejszą jego książką: „Socjalistyczna szósta część świata” (wydana w r. 1939) doczekała się do chwili obecnej 22 wydań i przetłumaczona została na 24 języki.

Dziekan Canterbury, dr Hewlett Johnson, członek światowej Rady Pokoju, odznaczony został Stalinowską Nagrodą „Za utrwalanie Pokoju między narodami”.



Rajani Palme Dutt

Palme Dutt, urodzony w r. 1896 w Cambridge, pochodzi z rodziny wielkiego brytyjskiego o wyzwolenie narodowe Indii, Ramesz Czandra Dutta. Jak wspomina w jednej ze swych książek, ojciec uczył go od najmłodszych lat „miłości do ludu hinduskiego i wszystkich ludów walczących o wolność”.

W latach szkolnych, w Anglii, styka się Palme Dutt z nauką Marksa i Engelsa, której wierny pozostaje na zawsze. W roku 1917 wydany zostaje z uniwersytetu w Oksfordzie za zorganizowanie socjalistycznego wiecu studentów. Od tej chwili całkowicie poświęca się walce o wyzwolenie klasy robotniczej. W r. 1921 zakłada wraz z Harry Pollitem Komunistyczną Partię Wielkiej Brytanii, w której pełni obowiązki wiceprzewodniczącego. Również, czasem zakłada miesięcznik „Labour Monthly”, którego naczelnym redaktorem jest do chwili obecnej.

Palme Dutt jest autorem licznych książek i artykułów. W Polsce znane są dwie jego ostatnie prace: „Indie dzisiejsze” i „Kryzys Imperium Brytyjskiego”.

Z PRAWDZIWA przyjemnością przystępuję do skreślenia moich wrażeń, odniesionych w Nowej Polsce, i myśli o znaczeniu, jakie ona posiada dla całego świata.

Od czasu mojego pierwszego — po wojnie — pobytu w Polsce, w maju 1945 r., z wielkim zainteresowaniem śledziłem wszystko, co się działo w Waszym wspaniałym kraju. Mój każdy kolejny przyjazd wzbudzał we mnie coraz to większy podziw dla zasięgu i szybkości, z jakimi dokonywał się rozwój zarówno politycznego, jak społecznego i gospodarczego życia w Polsce.

Na każdym kroku widziałem ten sam rozmach i rozkwit na nowo organizowanego przemysłu, wzrost stopy życiowej, szkolnictwa lub opieki nad zdrowiem ludności; na tym samym poziomie stały również ogromne osiągnięcia, jakie widziałem na polskich Ziemiach Odzyskanych.

Wspaniałe wyniki w dziedzinie zdobyczy materialnych, jak: szeroko zakreślona odbudowa Warszawy lub Gdańska, budowa potężnego miasta stali — Nowej Huty, szły w parze z wielkimi zdobyczami w sferze duchowej, jak: opieka nad dzieckiem, rozwój szkolnictwa, spółdzielczości, a ponad to w zakresie tak doniosłych zadań, jak normalizacja stosunków pomiędzy Państwem a Kościołem.

Niezwykle szybki rozwój przemysłu polskiego pozwala się spodziewać, że wkrótce Polska stanie na równej stopie z najbardziej uprzemysłowionymi krajami.

Polska jest ożywiona pragnieniem pokoju. Postęp, jakiego świadkami jesteśmy w Polsce, czyni ten kraj jednym z potężnych filarów światowej walki o pokój. Ponadto szybki rozkwit Polski świadczy o jej sile i możliwościach na drodze do socjalizmu.

Związek Radziecki i Chiny — na wschodzie, oraz Polska i kraje demokracji ludowej — na zachodzie tworzą wspólnie potężny blok, liczący 800 milionów ludzi. Ten niezwykły blok walczący o pokój wyciąga przyjazną dłoń do pozostałego świata. Rosnąca potęga Polski posiada dla tego „bloku pokoju” ogromne znaczenie.

Niedawno ukończyłem kilka lat trwającą pracę nad książką, która nosi tytuł „Rola Europy wschodniej w świecie socjalizmu”. Sądję, że książka ta ukaże się niebawem. Otóż pierwszych 20 tysięcy słów tej książki, po ogólnym podsumowaniu osiągnięć już zrealizowanych na drodze do socjalizmu, dotyczy Polski. Ilekroć na nowo odczytuję rejestr wyników osiągniętych przez Polskę, tyle razy z tym większą siłą przypominam sobie zdumiewający przebieg epokowych przeobrażeń i rozwoju, jakie zaszły w Waszym wielkim i pięknym kraju.

Niechże jak najdłużej towarzyszą mu pomyślność i powodzenie, niech Polska nadal niesie przed sobą pochodnię Pokoju.

Wasz oddany HEWLETT JOHNSON

10 ROCZNICA POLSKI LUDOWEJ jest wydarzeniem, które będzie godnie uczczone przez wszystkich zwolenników demokracji, pokoju i wolności.

Ta rocznica przypomni dziś wszystkim, którzy posiadają krótką pamięć, jak niedawne są czasy, kiedy okrutna bestia hitlerizmu i agresja militarysty panowały nad Europą. Przypomni również z jaką bezgraniczną i bohaterką ofiarnością walczyły z nimi narody europejskie z narodem polskim na czele, ponad wszystko zaś przypomni, ile wdzięczności winni jesteśmy wiekopomnym osiągnięciom Armii Radzieckiej, która przyniosła narodom wyzwolenie i możliwość budowy nowego życia.

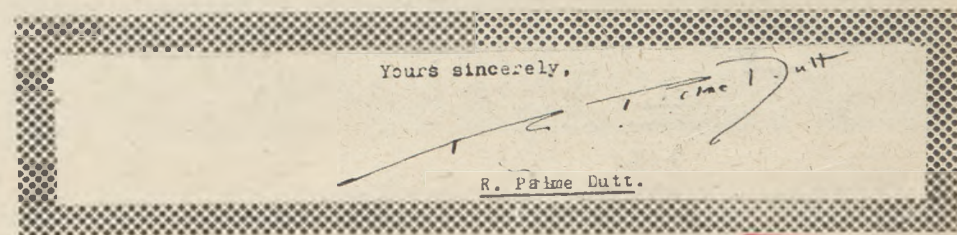
W ciągu ubiegłych dziesięciu lat naród polski wykorzystał każdą chwilę, by dokonać dzieła takiej odbudowy, która do niedawna zaledwie nielicznym wydawała się możliwą do zrealizowania, a która nawet wśród najbardziej różniących się pod względem politycznym obserwatorów wzbudziła uczucie prawdziwego podziwu dla Polski.

Dziś Polska Ludowa dumnie stoi na straży pokoju i wolności.

Nigdy nie było większej potrzeby wzmocnienia więzów przyjaźni pomiędzy narodami Wielkiej Brytanii i Francji a narodem polskim, niż dziś, kiedy głowę podnieśli uczniowie hitlerizmu i jawnie zmierzają do odbudowy niemieckiego faszyzmu w celu rozpętania nowej napastniczej wojny.

Słę z Wielkiej Brytanii najserdeczniejsze pozdrowienia dla bohater-skiego narodu polskiego.

R. PALME DUTT



Lord Lewis Silkin, urodzony w roku 1889, należy do czołowych polityków i działaczy społecznych brytyjskiej Labour Party. W latach 1945—1950 lord Silkin pełnił funkcję Ministra Planowania Miast i Osiedli w rządzie Partii Pracy. Należy on do czołowych działaczy brytyjskich, dążących do jak największego rozszerzenia wyniany handlowej między Wielką Brytanią a Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej.

Z OKAZJI dziesięciolecia Polski Ludowej zasylam najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia.

Polska ma długą i wspaniałą historię, która jednak podlegała wielu gwałtownym wstrząsom. Polska, która tylekroć traciła swój byt niepodległy, jest dziś bardziej niż kiedykolwiek przepojona niezłomną wolą zachowania wolnego i niepodległego istnienia, jako naród równy wszystkim innym wolnym narodom świata.

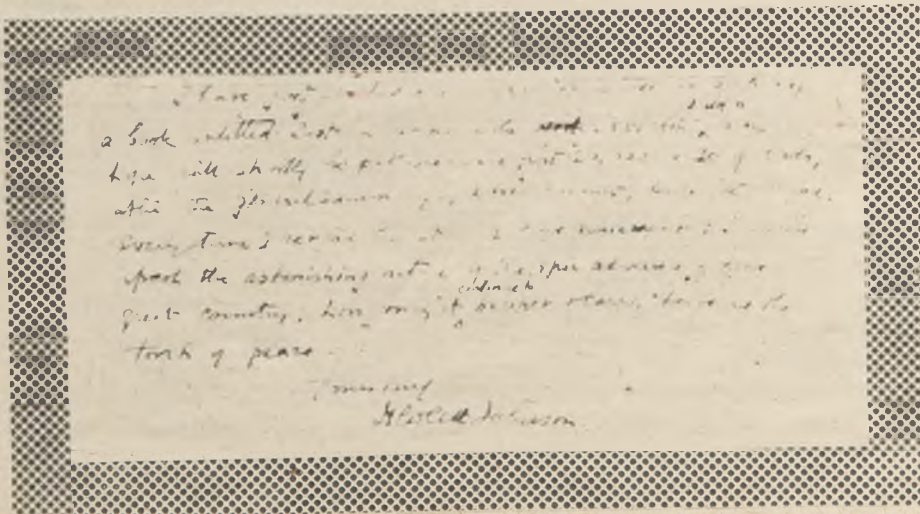
Ten cel Polska może osiągnąć jedynie na drodze przyjaznego współżycia ze swymi sąsiadami zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie.

My, w Wielkiej Brytanii, żyjemy dla Polski szczególnie serdeczne uczucia, mając żywo w pamięci więzy, które nas z nią łączyły podczas wojny z hitlerowskimi Niemcami, i wiekopomne czyny narodu polskiego i ten jego wielki wkład, który się przyczynił do odniesienia zwycięstwa nad wspólnym wrogiem.

Polska jest potencjalnie bardzo bogatym krajem, posiada znaczne zasoby naturalne, a Polacy są narodem pracowitym i inteligentnym. W dziele odbudowy powojennej naród polski w pełni wykazał swe wielkie zalety.

Sądzę, że pomnażając nadal swoje zasoby, służąc jako źródło natchnienia dla innych i współpracując z wszystkimi narodami w duchu wzajemnego zrozumienia, Polska może niezmiernie wiele zdziałać dla dobra całego świata.

Handwritten signature





WYCHOWANKOWIE SZKOŁY W PEKINIE WYBIERAJĄ SIĘ NA WYCIECZKĘ POD OPIEKĄ NAUCZYCIELKI

PRZYSZŁOŚĆ PRZEGLĄDA SIĘ W ICH OCZACH

JADWIGA SIEKIERKA

Korespondencja własna „Świata” z Chin

O TYM, że Chińczyków jest 500 milionów przekonują nas w Chinach dzieci. Pełno ich wszędzie, na ulicy, w parkach, na wystawach, w świątyniach, na targu, no i oczywiście — w żłobkach i szkołach.

Małe i duże, bąki świecące różowymi tyłeczkami w rozciętych majteczkach, i pełni powagi pionierzy z czerwonymi krawatami, wesołe, przymilne dziewczęta z różnokolorowymi wstążeczkami we włosach i mrowie chłopaków z roziskrzonymi oczami, oblepiające samochody — niezliczona moc dzieci wesołych, hałaśliwych, ogromnie wrażliwych i chłonnych.

Gdy idziemy ulicą, wystarczy, abyśmy przystanęli na chwilę, a już wyrasta dookoła nas żywy mur dzieci. Jesteśmy otoczeni i stłoczeni. „Natarcie” wzmacnia się, mur dookoła nas rośnie, kołysze się, huczy jak rój pszczelny. Owiewa nas gorący oddech dzieci. Uważnie patrzą na nas ciekawskie, świdrujące oczęta.

Niezwykłą atrakcją był okrągły, lotniczy zegarek polskiego pisarza Wojciecha Zukrowskiego. Takich zegarków nie sprzedają w sklepach, nikt takich nie nosi w Chinach —

dlatego dzieci w lot go spostrzegają. Biada właścicielowi! Jeden przez drugiego, wszyscy nacierają na Zukrowskiego. Jak u pływaka walczącego z falami, ręka Zukrowskiego to leci w dół, by pozwolić najmniejszym obejrzeć, posłuchać i dotknąć tajemniczy zegarek — to wznosi się w górę, szarpana przez starszych chłopców. Rozbawionego Zukrowskiego z trudem wyzwalamy z mocnego uścisku dziecięcych rąk.

Czasami idziemy jakąś zaciszną uliczką. Widzimy, że gdzieś zza muru dostrzegły nas i śledzą czarne, błyszczące ciekawością oczy pięciolatka. Za chwilę już cicha uliczka wzbiera szumem niezliczonych głosów dzieci. „Okrażeni” — przyspieszamy kroku. Najmłodsze uśmiechają się do nas z ufnością, biorą za ręce. Wśród dziecinnej szczyboty rozróżniamy jedno, często powtarzane, górujące nad innymi słowo: „Suljen, suljen, suljen” — co znaczy po chińsku Rosjanin. W Chinach Ludowych „suljen” oznacza Europejczyka-przyjaciela. Biorą nas za Rosjan, stąd tyle radości i zaufania.

OSOBLIWA LEKCJA CZYTANIA

Widziałam kilka szkół chińskich — pod Pekinem, w wiosce rodzinnej Mao

T’se-tunga, i w Szanghaju. Były to szkoły koedukacyjne z internatem dla dzieci ze wsi okolicznych.

W internatach jest czysto (prawie nie ma mebli) i jak wszędzie w Chinach — kolorowo; na ścianach obrazki noworoczne w żywych kolorach (w Chinach — Nowy Rok to największe święto). Ale na tym tle najbarwniejsze są oczywiście same dzieci.

Dziewczynki w kwiecistych, długich bluzkach i przeważnie niebieskich spodniach. Chłopcy w granatowych ubrankach, przypominających kombinzony, jakie noszą dorośli.

W chińskiej szkole zwraca uwagę ogromne skupienie dzieci, ich żarliwe wsłuchanie i wpatrzenie w nauczyciela, gdy coś opowiada.

Zaskoczyła nas w szkole chińskiej szczególna metoda nauki czytania.

Zwiedzamy młodszą klasę — siedmioośmioletnie dzieci, każde z własnej

książki czyta na głos, ogromnie przejęte, nie zwracając uwagi i nie słysząc sąsiada. W klasie, wśród ogólnego zgiełku panuje jednak wzorowy porządek — nauczyciel spokojnie się przechadza, każde dziecko miarowo wykrzykuje swoje zdanie i tylko my wyglądamy jak... przybysze z księżycy. Widząc nasze ogłupiałe miny, nasz miły tłumacz Lo Isu śmiejąc się uspokaja nas: „Ja też tak uczyłem się czytać po chińsku, to bardzo pomaga”. Trudno, wypada uwierzyć. Przyzwyczajamy się, nabieramy przekonania do głośnego czytania po paru zasłyszanych lekcjach.

Często na ulicy dolatywał nas z jakiegoś budynku narastający, miarowy krzyk dzieci. Nie okazywaliśmy już niepokoju, a na zdziwione spojrzenie kogoś mniej obeznanego, odpowiadaliśmy: „Szkoła — lekcja głośnego czytania”.

BERLIN WIDZIANY Z PARYŻA

FRANCIS CREMIEUX

Korespondencja własna „Świata” z Paryża



W OKRESIE, zbiegającym się z początkiem konferencji berlińskiej, liczne przejawy w kołach francuskiej burżuazji i finansjery świadczą o dążności do odprężenia w sytuacji międzynarodowej.

Nie ma prawie gazety gospodarczej, w której nie znaleźlibyśmy szczegółowych komentarzy na temat wymiany handlowej między Wschodem a Zachodem. Dziennikarze związani ze sferami finansowymi zwracają się do rządu z pytaniem: „Dlaczego zwlekacie z nawiązaniem kontaktów, widząc przecież, że Amerykanie i Anglicy nie próżnują? Dlaczego nasi przedstawiciele w Moskwie i w krajach demokracji ludowej mają się dać prześcignąć?”

Szybkie narastanie nastrojów na rzecz wzmocnienia wymiany handlowej z krajami Wschodu — oto rys charakterystyczny pierwszych tygodni roku 1954. W konsekwencji wzmaga się również dążność do podjęcia akcji dyplomatycznej na rzecz odprężenia w polityce. Konferencja berlińska budzi nadzieje. Poseł R.P.F., Vallon, oświadczył nawet, że „za drzwiami zimnej wojny — nie musi stać wojna prawdziwa — ale pokój”.

Cała uwaga koncentruje się więc na obradach berlińskich i na pokojowym rozwiązaniu problemu niemieckiego. Ogromna większość Francuzów pragnie, by konferencja się udała. Jest rzeczą charakterystyczną, że grupy polityczne różnych kierunków żądają, by Francja przybrała w Berlinie postawę niezależną od Stanów Zjednoczonych. Praktycznie nie znaczy to, że ośławiona „solidarność atlantycka” chwieje się. Niech każde mocarstwo broni swych interesów, jak uważa za stosowne — lecz nie może być tak, by Stany Zjednoczone mówiły za Francją, a Francja wzorowała się w każdej sprawie na Stanach Zjednoczonych.

Wszystkie oczy zwrócone są na Berlin — ale w samej Francji trwa jednocześnie walka przeciw ratyfikacji układów z Bonn i Paryża. Partia Komunistyczna daje nadal niezbitą dowody swego dążenia do jedności z wszystkimi siłami przeciwstawiającymi się remilitaryzacji Niemiec. Stanowisko KPF doprowadziło do upadku kandydatury posła MRP, Pillimlina („ultra-Europejczyka”), w głosowaniu na przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego. Komuniści głosowali na kandydata socjali-

stycznego, Le Troquer'a. Głosowanie to, uwieńczone zresztą sukcesem, wzmocni w konsekwencji dążność do jedności akcji komunistów i socjalistów, wzmagającą się ostatnio wśród szeregowych członków partii socjalistycznej.

Reakcyjni przywódcy tej partii, zaprzysiężeni zwolennicy armii europejskiej, ponoszą klęskę za klęską. W wyborach do Komisji Spraw Zagranicznych zwyciężyli ci z socjalistów, którzy są przeciwnikami „europejskiej wspólnoty”. Symptomy tego rodzaju mnożą się z każdym dniem — i to nie tylko w łonie SFIO. Gdy przywódcy MRP chcieli wykluczyć z partii posła departamentu Dordogne, Andre Denis'a, „oskarżonego” o negatywne stanowisko wobec układów bońskich — jedna trzecia głosujących sprzeciwiła się wykluczeniu.

Równocześnie masy pracujące walczą o polepszenie warunków bytu. Górnicy i pracownicy lotnictwa strajkowali ostatnio domagając się podwyżki płac. Opór przeciw stosowanym przez rząd represjom przybiera na sile. Aresztowany sekretarz jednej z federacji komunistycznych, Andre Souquieres, został zwolniony po 48 godzinach. Jeanne

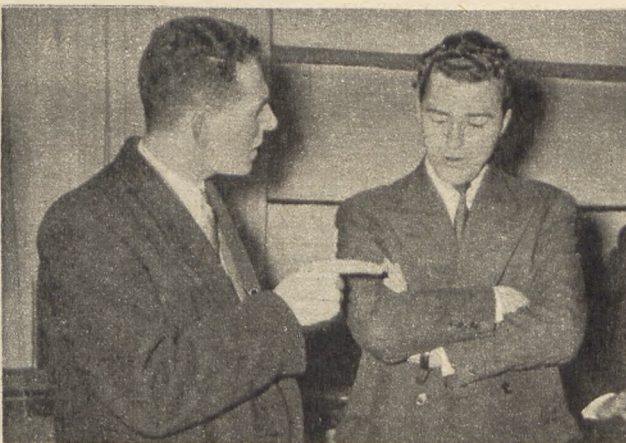
Satyryczny rysunek Mittelberga: „Co by było, gdyby „Europejska Wspólnota Obronna” została ratyfikowana?”. Francuskie Zgromadzenie Narodowe zamieniłoby się w... sejmik prowincjonalny

Berge, młoda Francuzka, skazana niedawno za protest przeciw wojnie w Indochinach — również opuściła więzienie. Dzięki szerokiej i wciąż się wzmagającej akcji protestacyjnej, co dzień wychodzą na wolność aresztowani uczestnicy Ruchu Oporu.

Dzięki głosom części posłów RPF rząd uniknął kryzysu i oto przeciwną „wspólnocie europejskiej” Francję reprezentuje w Berlinie jeden z głównych rzeczników tej „wspólnoty” — minister Bidault. Lecz patrioci francuscy są czujni i żaden minister nie może dziś ignorować woli ludu. Jest to tak niewątpliwe, że w sferach politycznych mówi się już nawet o rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego i o nowych wyborach, przy czym walka wyborcza toczyłaby się oczywiście wokół zagadnienia Niemiec i wokół wojny w Indochinach — jeśli w okresie kilku miesięcy nie będą wszczęte rokowania z republiką wietnamską.



Souquieres, sekretarz jednej z Federacji KPF, b. więzień Buchenwaldu, aresztowany przez policję francuską



Pod naciskiem opinii publicznej Souquieres został zwolniony. Oto rozmawia z André Stilem (z prawej)



Mówca wzywa robotników do wzmocnienia oporu przeciw ratyfikacji „Europejskiej Wspólnoty Obronnej”

Przechodząc między ławkami w szkole, trudno było oderwać wzrok od czarnych główek, schylonych w napięciu nad zeszytem, gdy mała rączka kaligraficznie wypisywała zawijasowate chińskie hieroglify. W ten sposób dzieci nabierają wprawy w piśmie rysunkowym. To sztuka i wysiłek nie lada nauczyć się pisać po chińsku. Dlatego dziś w Chinach Ludowych, według wskazań partii komunistycznej i osób bliskich Mao Tse-tunga, wielu uczonych i pedagogów pracuje nad tym, aby uproszczyć, uprzystępnąć szerokim masom i dzieciom trudną pisownię chińską i alfabet.

Niezawodna zdobycz Chin Ludowych — to ogromny wzrost szkół dla dorosłych (likwidacja analfabetyzmu w toku), szkół dla dzieci, o czym ze zrozumiałą dumą mówią nam towarzysze chińscy, konfrontując ten stan rzeczy z niedawną przeszłością, gdy nau-

ka w szkole była niedostępna dla dzieci wiejskich.

W Kantonie, w sobotę miasto dosłownie jest opanowane przez dzieci — pełno ich w muzeach, na wystawach, w parkach, w ogrodzie zoologicznym. Zaskoczył nas ten masowy szturm dzieci na kulturę. Okazało się, że sobota w szkołach w Kantonie — to dzień imprez i wycieczek kulturalnych.

Tego dnia Kanton żyje pod hasłem „Wszystko dla dzieci!”

OKUPOWANA KSIĘGARNIA

Nigdzie nie widziałam dzieci tak masowo i zachłannie, z całą żarliwością dzieciinną, urzeczonych „cudami” techniki, jak właśnie w Chinach.

W Tientsinie, Szanghaju zwiedzaliśmy Domy Kultury Robotniczej, doskonale wyposażone i sprawnie pracujące. Były tam ciekawe wystawy techniczno-przemysłowe, pokazy pomysłowości

racjonalizatorskich. Cieszyły się one wyjątkowym powodzeniem. Naród zacofany ekonomicznie, a więc i technicznie, wykazuje dziś olbrzymi pętyzm dla techniki. W dzieciach ta cecha wyzwolonego narodu ustokrotniła się, pomnożona przez dzieciinną wrażliwość i chłonność. Większość zwiedzających wystawy i pokazy techniczne — to były właśnie dzieci i młodzież.

Na wystawie osiągnięć techniki radzieckiej, na naszej wystawie przemysłowej w Pekinie — pełno dzieci. Co za wdzięczna publiczność! Można było obejść całą salę, przysiąc z powrotem i na tym samym miejscu (co przed pół godziny) zastać nieruchomego jak posąg chłopca, zaczarowanego widokiem jakiejś ciekawej maszyny w ruchu. Takie dzieci w niedalekiej przyszłości nadrobią zacofanie i wyrównają krzywdy swych ojców i praojców.

Nie zapomnę nigdy wielkiej, wzorowej księgarni państwowej w Kantonie. Zwyczajem południowych miast chińskich sklep stał otworem od ulicy. Oprócz półek pod sufitem zapchanych książkami — w sklepie było

dużo stołów z nowinkami z różnych dziedzin nauki i sztuki.

Rozglądam się po sklepie uważnie — okazuje się, że jest wprost okupowany przez czytające dzieci, głównie bosonogich chłopców. W każdym niemal kącie, przy każdej półce, przy każdym stole — siedzą w kucki, pochłonięci książką, nic nie widząc i nic nie słysząc, co się dzieje dookoła.

Jeden z zaczytanych ma na wpół otwarte usta z przejęcia, inny wicherzy niemłotliwie czarną czuprynę — wyraźnie wzruszony czytającą książką. Dziewczynka wtulona w kąt między półkami szarpie pasową wstążkę na swym przerzuconym przez ramię warkoczu, sapie przejętą lekturą, policzki płoną. Nikt z obsługi sklepowej nie „pilnuje” tłumów czytających dzieci. Nikt też nie „pilnuje” książek. Chińczycy są przecież niemal przysłowiowo uczciwi.

W wolnych Chinach rośnie wspaniałe pokolenie, chciwe wiedzy, wrażliwe, chłonne, pełne twórczego niepokojów.

W oczach chińskich dzieci przegłąda się wielka przyszłość chińskiego narodu.



„Mamo, co to była eksmisja?” — „Ta-
to, a gdzie była Polska B?” Nagaby-
wanym w ten sposób rodzicom dedy-
kujemy właśnie nasz dzisiejszy
„Słowniczek wyrazów obcych” — ob-
cych dlatego, że na zawsze zniknęły
z naszej rzeczywistości. Tłumacząc
dzieciom sens tych zaginionych wy-
rażeń, uświadomimy sobie naszą całą
drogę — od pokolenia, które znało
słowo „saksy”, do pokolenia, które
zna słowo „traktor”.

Nr 7

8—14 lutego 1954

POLSKA B

Przez środek naszego kraju przebiegała granica gospodarcza

Wielki kraj nasz, w którym stał się ekwiwalent za opóźnienie zaspokojenia potrzeb inwestycyjnych tych terenów. Jest to konieczność państwowa. Mało jest bowiem mówić o Polsce A i B, lecz trzeba stworzyć warunki, w których ta Polska B a do niej należy przede wszystkim Wileńszczyzna uboga i nie osiągnąca samowy-

Polska B i Polska A — taki podział kraju istniał za rządów sanacji. Była więc Polska A — leżąca, z grubszą biorąc, na zachód od linii Wisły, względnie uprzemysłowiona, i Polska B, tereny leżące na wschód od Wisły, zaniedbane, ubogie, bez jakichkolwiek perspektyw rozwojowych. Przeludnione ponad miarę, wsielone, rozdzielone z pokolenia na pokolenie gospodarstwa — nie były w stanie wyżywić nadmiaru mieszkańców. Niemal zupełny brak przemysłu powodował, że nie było zatrudnienia dla zbędnych rąk do pracy.

Jakaż była przyczyna takiego stanu rzeczy — uprzedmiotowienia jednych terenów przy jednoczesnym upośledzeniu innych?

W przedwojennej Polsce kapitalista zagraniczny lub rodzimy budował fabryki, wznosił domy mieszkalne tam, gdzie było mu najwygodniej, gdzie miał zapewniony jak największy zysk. Zachodnią część Polski obfituje w węgiel, żelazo i inne surowce. Tam więc, w pobliżu baz surowcowych, skoncentrował się cały przemysł Polski. Dla powstających kopalń, hut, fabryk budowano linie kolejowe, drogi, tam najszybciej rozwijały się miasta. Wielkie skupiska ludności pracującej w przemyśle zapewniały stały popyt na mieszkania. Rozwijało się więc budownictwo mieszkaniowe, które było jednym z poważniejszych źródeł zysku dla kapitalistów.

Dalej od baz surowcowych kapitalistom nie opłacało się zakładać swoich przedsiębiorstw. Zyski mogłyby być mniejsze, a więc nie było

interesu. Dlatego też w Lubelskiem czy Rzeszowskiem na próżno szukać byłby dawniej fabryk czy większych zakładów pracy. Nie było tam niemal zupełnie linii komunikacyjnych, brak było urządzeń komunalnych i kulturalnych w miastach. Polska B skazana była na wegetację, jej ludność na nędzę i uchodźstwo za chlebem do innych krajów.

Tu właśnie byliśmy świadkami faktów, które dziś po wsiach uchodzą za legendę — „sławne”, przysłowiowe dzielenia zapalki na czworo. Przez dwadzieścia lat międzywojennych w województwie białostockim zostało zelektryfikowanych osiemnaście wsi. W tym tempie prowadzona elektryfikacja kraju trwałaby ponad tysiąc lat...

Kilka innych liczb i faktów ze statystyki tego okręsu. W roku 1931 we wsiach województwa białostockiego było 26,2% analfabetów, w województwie śląskim — 1,5% analfabetów. Zakłady przemysłu przetwórczego w województwie lubelskim zatrudniały w roku 1937 13 tysięcy robotników i pracowników umysłowych, w województwie łódzkim odpowiednia cyfra przekraczała 152 tysiące.

Z biedą, bezrobociem, ciemnotą i krzywdą dawnej Polski B podjęła zdecydowaną i energiczną walkę władza ludowa.

W okresie sześciu lat na terenach gospodarczo zacofanych (nie licząc województwa krakowskiego) powstało 11 wielkich i 91 mniejszych obiektów przemysłowych, w których najdługo zatrudnienie ponad 200 ty-

sięcy osób. Przy fabrykach powstają nowoczesne osiedla.

Pracuje już fabryka samochodów ciężarowych w Lublinie. U uruchomiono częściowo wytwórnię sprzętu elektrotechnicznego w Poniato-
wie. Kraśnik otrzymał fabrykę łożysk kulowych, w Rejowcu powstaje wielka cementownia. Szybko rozbudowuje się przemysł bawełniany wielkich budowl przemysłowych okręgu białostockiego. Oprócz tych powstają dziesiątki mniejszych fabryk i wytwórni, których produkcja oparta będzie na surowcach rolnych.

W Lubelskiem, Białostockiem i Rzeszowskiem powstaje kilka fermentowni i suszarni tytoniu. Bogata w sady Lubelszczyzna otrzymała dwie nowe winiarnie, w tym jedną wielką w Milejowie. Dwa browary wybudowane w Lubelskiem, jeden wielki browar w Dojlidach, koło Białegostoku, oraz w Olsztynie, zapewnia korzystne warunki dla plan-tacji chmielu i jęczmienia browar-nianego.

Ziemniaki przemysłowe odbierać będą dwie wielkie budujące się krochmalnie — jedna w Lubelskiem, druga w Białostockiem. Poza tym powstanie gęsta sieć nowych gorzelni rolniczych w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. (Jw)

POMOC ZIMOWA

Namiastka na wzór hitlerowski



W tych dniach na Z odbyło się posiedzenie O mitetu Pomocy Zimowej 500 osób z całej Polski znajdowali się P. Prezy- lek Smigły-Rydz, członk- szalkowa Piłsudska, prz- wieństwa, armii, miast, i społeczeństwa.

Przemówienie sprawoz- min. Kościelkowski, pod- że w roku ubiegłym wy- moc Zimową przeszło 33 pozwoliło objąć pomocą- stępnie p. Marszałkowi R wodniczą Komisji R o udzielenie absolutorju- nemu. W końcu powołano Wydział Wykonawczy.

Niewątpliwie apel K z gorącym przyjęciem z- stwa, które nie poszedł- umy i potrzebującym ok- ta, ażeby obywatelski od-

POMOC ZIMOWA — szumnie reklamowana akcja, miała po- móc bezrobotnym i bezdomnym przetrwać najcięższe miesiące głodu i chłodu. Za wzór posłu- żyła tutaj rządowi sanacyjne- mu hitlerowska „Winterhilfe”. Zbiórki uliczne, bale, koncerty, przedstawienia — organizowane pod „najwyższymi auspicjami” na rzecz pomocy zimowej — miały zastąpić to, czego nie mógł zapewnić rząd: pracę i dach nad głową.

Bezsilność ustroju w walce z wzrastającą nędzą i bezrobo- ciem takie tylko zostawiała moż- liwości rozwiązywania najbar- dziej piekących spraw...

Oczywiście — sanacja nie miała najmniejszych wątpliwo- ści, że ani najwspanialsze bale, ani pełne sale koncertowe spra- wy nie załatwią.

Ale coś przecież trzeba było zrobić — jakoś mydląć, czy, próbować wszelkimi sposobami rozładować narastające nastroje rewolucyjne.

„Okażmy głodnym serce”, „Gorące serca zwalczą mróz”, „Pieśń, która koi głód” — pod

takimi i im podobnymi tytuła- mi przynosiły gazety wiadomości o akcji pomocy zimowej. A obok — zdjęcia: uroczyste po- siedzenie Komitetu Akcji Pomo- cy Zimowej z udziałem najwy- szych dostojników państwowych i duchowieństwa, czy fragment sali koncertowej, w której Jan Kiepura śpiewał rzewne arie dla ubrylantowanej publiczno- ci...

„Pieśń, która koi głód”... Cie- kawie, że nigdzie nie można by- ło znaleźć najmniejszej choćby wzmianki o tym, jak to głodny czy zmarznięty poczuł się na dłuższą metę syty i ogrzany przy pomocy gorących włoskich pieś- ni, długiego, pełnego dobro- czynnych westchnień przemó- wienia, rzewnych arii opero- wych czy artystycznie odtar- czanego bolera.

„Pomoc zimowa” — to poję- cie spoczywa dziś, dawno zapom- niane, gdzieś na dnie niesław- nego archiwum sanacyjnych rządów. Nie ma dziś — i nie może być w naszych warun- kach — tych, dla których była przeznaczona: bezrobotnych i bezdomnych. (mb)

PACYFIKACJA

Okrutna treść słowa o pokojowym brzmieniu

ciagu na wycofujący się oddział. Policja wydarłszy się z tłumu, zwróciła się fron- tem do napastników i wobec niezaprzesta- nia ataku, mimo salwy ostrzegawczej, od- dała salwę w tłum. Na skutek tej salwy, zabitych zostało 5 osób, zaś 3 osoby zostały rann e. Dopiero na widok zabitych i rannych tłum rozbiegł się. Protokół sek- cji zwłok stwierdził, że zabici otrzymali ra-

cuta, wielkiej posiadłości magnac- kiej hrabiów Potockich. Bezpośred- nią przyczyną buntów były, jak w wypadku Łapanowa, obrona chłopów przed egzekucją za zaległe podatki: jak w wypadku okolic Łan-uta — obrona chłopów, którzy kradli drze- wo w hrabiowskim lesie, bo nie mieli na czym ugotować mleka dla chorych dzieci. W starciach zginęło kilku najbrutalniejszych policjantów i dlatego w odwet zorganizowano pa- cyfikację.

Wojska, złożonego przecież prze- waznie z chłopskich synów, obawia- no się użyć, odmówiło już bowiem swej pomocy w akcji krakowskiej, a później przy tłumieniu strajku ge- neralnego włókniarzy w Łodzi. Sa- nacja znalazła jednak radę: stwo- rzono specjalną formację oprawców, szkolonych w głośnej „uczelnii” po- licyjnej w Gołędzinowie. Nowa for- macja policji niczym nie różniła się od dobrze uzbrojonej brigady wojs- ka, nosiła te same mundury koloru khaki, kaski bojowe i wyposażona była w najdoskonalszą broń, nie wy- łączając czołgów.

Te brygady karne, rozwinięte przez premiera, generała Sławoj- Składkowskiego, a wypiełgnowane przez szefa policji gen. Kordian-Za- morskiego, przeprowadziły pacyfi- kację Małopolski, a później Zamo- szczyzny, Hrubieszowskiego, połud- niowych powiatów województwa lwowskiego i pogranicza woje- wództw: wołyńskiego i poleskiego.

Jak wyglądała taka pacyfikacja? „Zbuntowane” wioski okupowała karna brygada policji i przechodząc od chaty do chaty, systematycznie biła mieszkańców tych wiosek pał- kami gumowymi i kijami. Niektó- rych uprowadzano do aresztów.

Pacyfikacja nie daje nigdy spo- dziewanych rezultatów, wskazuje natomiast, że gdziekolwiek się ją stosuje, istnieje ucisk społeczny i narodowy, że coraz silniejsze są tam dążenia do wyłamania się spod uścisku.

Nic nie straciło ze swego znaczenia tylko słowo PAX. Słowo to jest has- lem, pod którym gromadzą się na- rody walczące o pokój — przeciw pacyfikacjom. (ts)

EKSMISJA

Urzędowe wyrzucanie ludzi na bruk

Tragiczna śmierć eksmitowanego nędzarza.

Z Warszawy donosi (N): Przy ul. Ogro- dowej 46 mieszkał od kilku lat uliczny ha- dzarz lodowni 54-letni Stanisław Kopeczyński wraz z żoną i dwójkiem dzieci. Ostatnio wskutek pogorszenia się warun- ków bytu do rodziny Kopeczyńskich zajr- zała nędza. Na skutek zalegania za 7 miesie- cy za komorne, właściciel domu, zaskarżył Kopeczyńskiego do sądu o eksmisję, przy- czym wyrokiem tegoż sądu eksmisja mia- ła nastąpić w dniu 15 października.

Po wyroku sądowym Kopeczyński ponad

Exmitto... exmittere... — nie, to nie lekcja łaciny. To krótka lekcja niedawnej historii.

Eksmitować — powiada „Słownik Polski” — znaczy: wyrzucać z po- siadłości. Eksmisja — znaczy: wy- dalenie z majątku, z mieszkania...

Słownik jak słownik, wytłumaczył pochodzenie słowa. Ważniejsze jest jednak nie pochodzenie słowa, a je- go działanie. Dlatego zamiast do słownika sięgnijmy do sanacyjnego „Ilustrowanego Kuryera Codzien- nego”. Rok 1933, data — 7 sierpień, numer — 217:

„Plac Hallera w Łodzi przedstawia w jednym ze swoich zakątków oso- bliwy widok. Mianowicie w y e k s m i t o w a n y bezrobotny, pozosta- jący od 4 lat bez pracy Stanisław

Czeglaski, nie mogąc znaleźć dachu nad głową, postanowił wybudować mieszkanie na własną rękę. Ze sta- rych skrzynek sklecił na placu mie- szkanie, w którym zamieszkał z żo- ną i dwójkiem drobnych dzieci”.

Jest to oczywiście jeden wybrany przez nas na „chylbil-trafil” przykład zjawiska, które w Polsce rządzonej przez burżuazję, miało charakter powszechny. Bezrobocie — nieod- łączne zjawisko kapitalistycznego ustroju, rodziło natychmiast zjawis- ko drugie — eksmisje. Ludzie po- zbawieni od lat prawa do pracy, nie byli w stanie opłacać komornego. Właściciel kamienicy występował wówczas do sądu o eksmisję niewy- płacalnego lokatora. Nierzadki to widok lat przedwojennych: mo- knące na deszczu lub śniegu ubogie sprzęty, jakiś stół, jakieś łóżko i sz- fa — a obok tego granatowy poli- cja nt, który w imieniu „sprawiedli- wości”, na mocy wyroku sądowego, dokonał eksmisji.

Stąd brali się tacy, jak ten łódz- koin, który wybudował sobie „mie- szkanie” ze starych skrzynek. Inni szukali schronienia w rozlatujących się barakach dla bezrobotnych, schroniskach noclegowych lub po prostu pod mostem.

Ustrój nie troszczył się w naj- mniejszym stopniu o zabezpieczenie

robotnikowi zarobku. Z całą bez- względną troszczył się natomiast o prawa posiadaczy kamienic.

Aby już gruntownie poznać „sprawiedliwość” burżuazyjnych zwy- czajów w sprawach mieszkani- wych, zapoznajmy się również z no- tatką tego samego IKC-a, z tego sa- mego miesiąca i roku, z N-ru 212:

„Min. Spraw Wewnętrznych wy- stosowało do wszystkich wojewodów okólnik w sprawie obniżenia czyn- szów za mieszkania wynajęte na kwatery wojskowe. Okólnik Min. Spraw. Wewn. poleca, aby zarządy gminne spowodowały jak najdalej idące obniżenie czynszów”.

Notatka ta wobec wstrząsającej treści notatki poprzedniej nie wy- maga już chyba komentarzy.

3 lutego 1934 roku „Życie Warsz- wy” zamieściło artykuł: „4 miliony metrów sześciennych budynków — 25 tysięcy nowych izb otrzyma War- szawa w br.”.

Będą w nich mieszkać ludzie, któ- rzy znaleźli lub znaleźć mogą pracę we wszystkich odpowiadających im zawodach.

A dzieci ich uczyć się będą konju- gacji na lekcji łaciny. Może zdarzy im się odmienić „exmittere”. Słow- ko, które dziś użyte być może co najwyżej w tekście łacińskim. (Jj)

Fabrykancki środek zmuszania robotników do ustępstw

Tragedia w Klimoni



Szuby i zabudowania kopalni „Klimoni”.

Rodziny strajkujące

Lock-out — wyraz angielski, po polsku czyta się lokaut. Słownik angielsko-polski podaje takie oto tłumaczenie tego wyrazu: „Czasowe zamknięcie fabryki, by nie dać pracy robotnikom, zмова fabrykantów”. W ilustrowanej encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego czytamy, że lokaut jest to „zamknięcie przedsiębiorstw przez właścicieli w celu przeciwdziałania dążeniom i żądaniom robotników”. Wyjaśnienie we francuskim słowniku Larousse'a nie odbiega od powyższych.

Leksykon Meiera (Meiers Grosses Konversations-Lexikon), wydany w r. 1906, tłumaczy szereg: „Die gemeinsame Betriebseinstellung von Arbeitgebern, die gewöhnlich unter Festsetzung von Konventionalstrafen, durch Sperrung ihrer Werkstätten ihre Arbeiter, insbes. Bei einer drohender Arbeitseinstellung, zur Nachgiebigkeit zu zwingen suchen”. W języku polskim znaczy to: „Wspólne wstrzymanie ruchu w fabrykach przez pracodawców, którzy najczęściej przez ustanowienie kar,

przez zamknięcie warsztatów, usiłują zmusić swych robotników — zwłaszcza w obliczu grożącego strajku — do ustępliwości”.

Tyle słowniki i encyklopedie. Przytoczone wyjaśnienia są prawdziwe i ścisłe. Niemniej jednak — jak w wypadku wszelkich wyjaśnień, czerpanych z encyklopedii i słowników — stanowią one jak gdyby suchy szkielet, odbierają prawdziwie jej żywą treść. Jak było w rzeczywistości? „Chcesz podwyżki — twój los jest w moich rękach, robotniku mojej fabryki! Strajku ci się zachciewa? — sprawię ci przymusowe świętowanie! Tydzień, miesiąc, dwa, siedem... ile zapragniesz, ja wytrzymam! Jeszcze mnie będziesz błagał o pracę, jeszcze u bram będziesz wystawał i pracować będziesz za mniej, za znacznie mniej — byle pracować”. Przez tygodnie, miesiące ciągnęła się taka wojna nerwów. Klasa robotnicza odpierała jak mogła ataki fabrykanckiej przemocy, pracownicy z innych fabryk przychodzili z odsieczą, ulice miast przemysłowych tętniły walką demonstrantów — ale w domu był głód, matka dzieliła kromkę chleba między gromadę dzieci, w każdej chwili groziła eksmisja, z każdego kąta wyzierała beznadziejność.

Łódzcy Szajbierowie, Poznańscy, Geierowie nie jeden raz uciekali się do metody lokautu. W grudniu roku 1906 ogłosili lokaut, który trwał cztery miesiące. W trzydziści lat później, w 1936 r. w Zdunskiej Woli, lokaut u „Braci Pinczewskich” trwał siedem miesięcy. I choć w sanacyjnej Polsce, w miarę postępującej faszystyzacji ustroju, fabrykanci coraz częściej stosowali wobec robotników ów nieludzki środek przymusu — to owo słowo o angielskim brzmieniu coraz rzadziej ukazywało się na łamach prasy, weszło do arsenału tajemniczego reżimu, stało się rzeczą, którą się robi, lecz o której się nie mówi.

Lokaut — słowo to kojarzy się dla starszego pokolenia z bezmiarom cierpień, nieszczęść, trosk, przeżytych i w całej swej grozie utrwalał w pamięci. Dla młodych jest owo słowo jednym z przejawów całej różnicy między dawną beznadziejnością a dzisiejszą perspektywą.

MOCARSTWOWOŚĆ

Jedno z najperfidniejszych oszustw sanacyjnej propagandy

wy musicie starać się o to, aby w jej ery w dziejach naszych zawałł
bok was stanęli wszyscy ci, którzy bie sprawę

Polska może istnieć tylko jako mocarstwo.

d wszystkie Jego koncepcje zacych przeprowadza porównanie między
ce się bezpośrednio o tradycje dziełności dla polski i zdolności

Określenia „mocarstwowość”, „Polska mocarstwowa” — pojawiły się w propagandzie sanacyjnej w pierwszej połowie lat trzydziestych.

Był to okres, kiedy rosło gwałtownie zaniepokojenie społeczeństwa zarówno bezradnością rządu w walce z kryzysem, jak i sprzeczną z interesami narodu polityką zagraniczną. W celu uspokojenia i uspienia czujności społeczeństwa sanacja rozpoczęła kampanię propagandową, mającą przedstawić Polskę jako mocarstwo.

Metody tej kampanii były różne: ogłaszanie wypowiedzi cudzoziemców, m. in. i hitlerowców (!), o sile militarnej Polski; zamieszczanie zdjęć obcych samolotów wojskowych z podpisem, że są to samoloty polskie; „pobrzękiwanie szabelką” w stosunkach z Litwą; domaganie się kolonii zamorskich; przesładowanie prasy opozycyjnej, demaskującej słabość gospodarczą i zacofanie wojska; urządzanie częstych manewrów,



Annapol — Dzielnica bezdomnych

Annapol. Osad i wioski o tej nazwie jest w kraju kilka. Ale jedna tylko wśród nich zyskała sobie smutną sławę. Mamy na myśli najdalej przedmieście prawobrzeżnej Warszawy, które Zarząd Miejski wyznaczył przed wojną na przytułek dla bezrobotnych stolicy. W okresie, kiedy podjęto tę decyzję (rok 1927) Annapol był pustą, piaszczystą łąką na krańcu miasta obok cmentarza na Bródnie. Potem powstało tu zbiorowisko byle jak skleconych baraków, bud, szop, gdzie gnieździły się tysiące ludzi, wegetujących na pograniczu nędznego życia i głodowej śmierci. W jednej izbie — najczęściej ciasnej kłitce — mieszkało nieraz kilka rodzin. O elektryczności, kanalizacji — nie było na Annapolu mowy. Jak wykazuje statystyka, sporządzona w roku 1931 przez jedną z warszawskich gazet, ponad 32% mieszkających na Annapolu rodzin nie posiadało nawet łóżek i krzeseł — tylko sienniki, poukładane jeden obok drugiego na glinianej podłodze.

Jedyna droga do miasta prowadziła z Annapola przez cmentarz na Bródnie. Ta cmentarna droga była w oczach mieszkań-

ców tej dzielnicy gorzkim symbolem losu, jaki przeznaczył im ustrój kapitalistyczny.

Dziś na Annapolu nie ma baraków i szop. Najlepsze spośród stojących tam niegdyś budynków wyremontowano, dołączono do sieci elektrycznej i wodociągowej. Mieszka w nich niewiele ponad 300 osób.

Niedaleka przyszłość wymaże stąd ostatni ślad tego co było. Plan przyszłej Warszawy przewiduje budowę na terenie Annapola i sąsiedniego Bródna nowej, pięknej dzielnicy mieszkaniowej, obliczonej na 70 tysięcy mieszkańców. Na planie widziemy tu skwery, zieleńce, szkoły, boiska sportowe, dom kultury. Szeroka magistrala połączy Annapol poprzez nowy most na Wiśle z Żoliborzem.

Nowa dzielnica powstaje nie przypadkowo. Jej załążek już istnieje. Jest nim pobliska dzielnica przemysłowa Żerań z rosnącą tu wielką Fabryką Samochodów Osobowych, Elektrociepłownią, portem na Wiśle.

Dawniej mówiło się o Annapolu: leży obok cmentarza. Dziś mówi się: to niedaleko Żeran.

(zm)

SAKSY

Bicz głodu wypędzał chłopów z ojczyzny

Koniec obieżyśastwa.

Wielka Rada Saksy przyjęła na posiedzeniu dnia 11 lutego br. wniosek ministra pracy o zamknięcie granicy dla polskiego robotnika rolnego. Było to wbrew energicznym sprzeciwom kół rolniczych, a jednocześnie ku wielkiemu zadowoleniu

w krótkim czasie, jak wiadomo, stanęłyby pod znakiem zapytania bez naszego robotnika rolnego.

Dopóki w niemieckiej polityce emigracyjnej pr wojnie kierowano się wyłącznie korzyściami darcami, liczyli obywateli naszego wrażliwi

Saksy — wplotło się to dziwaczne słowo w mowę Mazurów, Kurpiów, Krakowiaków, Ślązaków i żyło w niej wiele dziesiątków lat, tak długo, jak długo biedota wiejska wędrować musiała za pracą i chlebem za granicę. „Jechać na Saksy” znaczyło bowiem wyjechać do Niemiec na robotę sezonową. A ponieważ najwięcej roboty znajdowali polscy chłopcy w Saksonii (niem. Sachsen), od nazwy tej krainy stworzyli gwarowy wyraz „saksy”.

To słowo, znane kiedyś każdemu dziecku na wsi, żyje już dziś jedynie w pamięci starszych.

Wędrowni polscy chłopcy za pracą i chlebem zaczęli się jeszcze w ubiegłym wieku. Bezrolni i małorolni chłopcy, a także młodzi ludzie z rodzin średniorolnych, którzy ani we wsi ani w mieście nie mogli znaleźć pracy, wędrowali — z rodzinami lub sami — za zarobkiem. W wędrowności tych szukali ratunku przed nędzą i głodem, a sił dodawało im marzenie, że z zaszczytów pieniędzy — po powrocie kupią tyle ziemi, aby móc w Ojczyźnie dostojnie żyć. Jedni jechali na ocean, inni do krajów zachodniej Europy, jeszcze inni, tzw. „obieżyśasy” — szli do Niemiec, gdzie w junkierskich i kuliackich folwarkach była praca dla sezonowców.

Przez 20 lat przed pierwszą wojną światową wyjechało za pracą z ziem polskich 2 miliony 600 tysięcy osób, głównie chłopów.

Najliczniej wędrowali chłopcy z Galicji, gdzie głód ziemi był najdotkliwszy. Wystarczy dla przykładu wymienić jedną — wcale nie najbiedniejszą w Małopolsce — wieś, Wołę Dalszą w pow. Łańcut woj. rzeszowskiego. Ze 165 rodzin, które żyły tam przed pierwszą wojną światową, 180 osób wyjechało w latach 1890—

1914 do Ameryki, a 40 osób co roku jeździło sezonowo „na saksy”.

Nie się nie zmieniło w doli biedoty wiejskiej i „sezoników” w Polsce okresu międzywojennego. Głód ziemi, a z nim głód pracy i chleba — nie zmalał, 2,5 miliona biedoty wiejskiej, tzn. prawie 65% rodzin chłopskich miało tylko 15% ziemi, podczas kiedy 16 tys. rodzin obszarńniczych władało połową ziemi w Polsce. Toteż tak samo, jak pod rządami zaborców, bezrolni i małorolni chłopcy szukać musieli pracy i chleba za granicą. Jeszcze w roku 1928 wyjechało z Polski ponad 100 tysięcy ludzi.

Emigracja i wyjazdy „na saksy” ratowały od nędzy wiele tysięcy rodzin chłopskich. Gdy w roku 1930 kraje zachodu zamknęły wrota dla polskich emigrantów, a „na saksy” wyjeżdżały tylko niewielkie grupy chłopów, życie na przeludnionych wsiach stawało się coraz bardziej beznadziejne, a liczba tzw. „ludzi zbędnych” na wsi dosięgała około 8 milionów.

Gorzką dla chłopów treść zawiera w sobie wyraz „saksy”: głód w rodzinnej wsi, wędrowność za chlebem, poniewierka w obcych krajach, niewolnicza praca dla obcych, marzenie o zdobyciu pieniędzy na kupno ziemi od obszarńnika.

W Polsce Ludowej nie ma głodu ziemi. Zaspokoila go reforma rolna i osadnictwo na Ziemiach Zachodnich, zapobiega mu szybki rozwój przemysłu i miast.

Mądra polityka władzy ludowej zapewniła pracę i chleb nawet tym, którzy niegdyś wyemigrowali z Polski. Tysiące takich wychodźców wróciły z Francji, z Westfalii i innych krajów i od kilku już lat pracują w kraju dla siebie.

(pz)

FORTUNA RODU KRUSCHÓW

MONIKA WARNEŃSKA
Zdjęcia: W. PRAŻUCH 5)

W STARANNIE przygotowanym albumie znajdziemy dagerotypy z podobiznami Kruschego Pierwszego i jego potomków następnej generacji. Znajdziemy fotografie zimowych pałaców i letnich willi Kruschów i Enderów. Znajdziemy liczne dokumenty, mówiące o dalszym rozroście pabianickiej spółki akcyjnej, o jej powiązaniach z łódzkimi potentatami. Ale żadna fotografia i żaden dokument w owym albumie nie odda prawdy wyzysku robotnika, eksploatacji kobiet i dzieci, prawdy o ludziach ginących pod kulami żandarmerii i policji.

Tę prawdę znów odsłonią relacje i wspomnienia starych robotników. Opowiada więc towarzysz Jan Kubicki:

— Pamiętam, był rok 1928. Nadszedł czas wyborów do sejmiku. Według ordynacji wyborczej musieliśmy zebrać na liście przynajmniej 500 podpisów, aby móc zgłosić kandydata. We dwóch z Antonim Rosakiem, zebraliśmy od naszych robotników nie 500 podpisów, a trzy razy tyle — 1500!... Z tą listą pojechaliśmy do Okręgowej Komisji Wyborczej w Łodzi. Lista musiała być komisyjnie zatwierdzona, abyśmy mogli zgłosić kandydata na posła.

— Odmówiono nam jednak zatwierdzenia listy pod pretekstem, że podpisy były rzekomo sfałszowane. Otrzymałmy polecenie sporządzenia jeszcze jednej listy w przeciągu doby, ale wszystkie podpisy miały być potwierdzone przez rejenta. A to — jak wiadomo — kosztuje...

— Lecz robotnicy przez cały dzień i noc przychodzili, aby złożyć podpisy. Zebraliśmy ich nie 500, jak tego żądano, lecz 1000!

— Następnego dnia policjanci wzywali na posterunek wszystkich tych, co złożyli podpisy, aby zmusić ich do wycofania się. Szpicle mówili: — Co wy podpisujecie? Przecież to lista komunistyczna, nie wiecie o tym? Robotnicy odpowiadali: — Właśnie dlatego ją podpisujemy. Nie wycofał się żaden z nich...

Opowiada towarzysz Teofil Miller:

— W roku 1932 zwolniono z pracy około 400 starych, wysłużonych robotników. Nędza, jaka ich czekała, mogła za lat kilka stać się udziałem wielu spośród nas. Ruszyliśmy do walki w obronie zredukowanych towarzyszy. Z inicjatywy komunistów ogłoszony został strajk. Okupowaliśmy fabrykę, w której przyszło nam siedzieć przez dwa tygodnie. Organizowano zbiórki pieniężne na rzecz strajkujących. Chłopi z okolicznych wiosek, z Teodory, Juczkowic, Bychła, Szynkielewa zwozili produkty i składali je na ręce komitetu strajkowego, nie chcąc przyjąć zapłaty. Pamiętam, jak przez otwory w kutej, ażurowej bramie, która odgradzała zakłady od ulicy, podawano żywność... Tą samą również drogą robotnicy z mniejszych fabryk pabianickich doręczali nam śniadania. Gdy fabrykanci zorientowali się, którzy idzie pomoc dla nas — kazali zaopatrzyć bramę w że-

lazne zasłony. Wtedy żywność zaczęła do nas wędrować górą, przez płot.

— W drugim tygodniu strajku zwołany został wielki wiec, który przekształcił się w masową dwutysięczną demonstrację. Z ulicy Bagatela, gdzie mieścił się lokal klasowych związków zawodowych, ruszyliśmy pod zakłady „Krusche i Ender”. Koło fabryki „Wysokiej” zaatakowała nas policja. Na kule odpowiedzieliśmy kamieniami. Walka trwała do godziny 2 po północy. Z naszej strony padło dziewięciu rannych...

— Po rozpadzeniu pochodu „granatowi” zaatakowali fabrykę od strony ulic: Grobelnej, Zamkowej i Kilińskiego. Ludzie stawili opór nawet wtedy, gdy policja podstępnie, tylnymi wejściami wdarła się na teren zakładów. Kolbami, karabinami, gazami łzawiącymi wypędzili „granatowi” strajkujących z terenu fabryki.

Kilkunastu członków komitetu strajkowego aresztowano. — Bili bardzo — wspomina dalej towarzysz Kubicki — bili po pijanemu, aż do utraty przytomności. Dyrygował oprawcami długoletni szef miejscowej „de-fy”, przodownik granatowej policji, były bokser, Stempelski. Zmasakrowanych robotników spychano na dół, do dyżurki, pokazując im jedzenie, przynoszone przez rodzinę. — No, cóż, bandyto polityczny — pytał każdego Stempelski — jesteś jeszcze młodszy? Zbici, sponiewierani ludzie milczeli twardo. Milczeli na posterunku policji i później, w łódzkim więzieniu na ulicy Gdańskiej. Nadskakując Kruschom i Enderom, władze usiłowały pabianicką walkę robotników traktować jako sprawę kryminalną, a członków komitetu strajkowego — jako przestępców. Ugodowcy spod znaku PPS, ludzie tchórzliwi i powolni dyrektywom „bonzów” związkowych, takich jak osławiony pepesowski dyktator Związku Zawodowego Włóknarzy, Szczerkowski — usiłowali „rozładować” strajk. Lecz komitet strajkowy, w którym kierowniczą rolę odgrywali komuniści, nie dał się zastraszyć, otumanici ani sprowokować.

W cztery tygodnie po rozpoczęciu strajku zwołano konferencję inspektorów pracy dla rozpatrzenia żądań robotniczych. Załoga fabryk „Krusche & Ender” zwyciężyła. Zredukowanych robotników przyjęto znów do pracy. Wkrótce potem wyszli na wolność działacze komitetu strajkowego.

Rok 1933 przyniósł Pabianicom nową falę walki. Marcowy strajk powszechny włóknarzy łódzkich wywołuje tutaj żywe echo: znowu brzmia na wiecach i zgromadzeniach gorące słowa przywódców KPP, znów idą ulicami miasta pochody robotnicze, które atakuje policja. Ulice Krótka, Fabryczna, Moniuszki spływają robotniczą krwią. Od kul granatowych bandytów pada pięciu robotników.

Towarzysze dźwignęli ich na ramiona i nieśli przez miasto. Ciało jednego z poległych złożono na szynach tramwajowych, biegnących wzdłuż głównej ulicy Pabianic. Ruch na mieście został wstrzymany. Twarde i surowe były twarze ludzi, którzy śpieszyli, by oddać hołd zamordowanym.

Policja zamierzała pogrzebać ich cicho i bez rozgłosu, by uniknąć demonstracyjnego pogrzebu. Kompania doborowych zbirów ze szkoły policyjnej w Mostach strzegła cmentarza. „Granatowi” obstawili rogatki Pabianic. Lecz robotnicy łódzcy, uzbrojeni w młoty i łomy, polnymi drogami szli ku Pabianicom, niosąc wieńce i czerwone sztandary. Nad mogiłą poległych mocnym akordem brzmiała Międzynarodówka, której echa docierały aż do pałaców Kruschów i Enderów jak ostrzeżenie i sygnał.

Burzliwa wiosna poprzedziła niespokojną jesień roku 1933. Ową jesienią bezrobotnym, zatrudnionym przy robotach publicznych — przy remoncie budynków miejskich i naprawie dróg — zagroziła bezprawna redukcja. Mieli być zwolnieni przed upływem pracowniczych 13 tygodni, tracąc w ten sposób prawo do ustawowej zapomogi. Gdy nie pomogły interwencje i prośby w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej — wybuchł strajk.

Był to niezwykle strajk. Bezrobotni pozostali tam, gdzie zaskoczył ich rozkaz przerwania pracy. Obsadzili strychy i piwnice remontowanych budynków miejskich. Zbudowali prowizoryczne piece na rozgrzebanych ulicach. Tu i ówdzie pod cieniem rudych drzew jesiennych zjawiały się brezentowe płachty zaimprovizowanych namiotów. Koczowali w nich ci bezrobotni, których strajk zastał na ulicy, pod gołym niebem.

Przy biurkach magistrackich dygotali wystraszeni urzędnicy. Za drzewami parków, za ścianami pałaców pienili się z wściekłości Kruschowie i Enderowie. Zatarasowane zostały ulice, wstrzymano ruch na jezdniach. Ludzie najbardziej zgnębieni i sponiewierani podnieśli głowy i prowadzeni przez Partię — upamiętnili się skutecznie o swoje.

Płynęły dalsze lata — trudne i ciężkie lata robotniczych Pabianic. Rosła fortuna Kruschów i Enderów, którym zdawało się sprzyjać wszystko: litera prawa i policyjne pałki, opieka państwa i mocne więzy łączności z potężnymi koncernami kapitalistycznymi.

Wielki kryzys ekonomiczny spowodził głód, nędzę i choroby do mieszkań pabianickich, zwiększył śmier-

telność dzieci, zmniejszył nieubłagane ilości dni pracy w tygodniu i liche zarobki. Ale nie podważył on w najmniejszej mierze fortuny pabianickich książąt przemysłu...

Szli za kraty pabianiccy włóknarze, tacy jak Szymczyk, Rusak, Kubicki. Odsiadawali kary długoletniego więzienia, jak Alfred Skibiński, którego dobrze znali mury Wronek i Sieradza, jak Andrzej Koziróg, jeden z najdzielniejszych aktywistów pabianickiej organizacji Komunistycznego Związku Młodzieży Polski od pierwszych lat jego istnienia, jak późniejszy partyzant Alfons Duczek. Ginęli od kul i bagnetów policji, jak Stefan Zuchowski, zamordowany przez granatowych zbirów podczas walk w roku 1933. Walczyli na barykadach odległej Hiszpanii, jak Pakin, młody żarliwy działacz Partii i KZM, który ginie później bohaterką śmiercią w szeregach francuskiego Ruchu Oporu.

Szli za kraty i ginęli — do ostatka wierni sprawie, o którą toczyła się walka, wierni towarzyszom, wierni Partii.

Zbliża się rok 1939. Szeroką strugą płynie złoto do pancernych kas Kruschów i Enderów. Niemieccy potentaci przemysłowi, od lat i pokoleń mocno wrośnięci w polską ziemię, czują się jeszcze bardziej pewni siebie niż kiedykolwiek indziej. Wiedzą, że dni sanacyjnej Polski są policzone. Niemiecki faszyzm zapowiada im dalsze pola drapieżnych zysków, dalszy rozrost bogactw.

Wrzesień roku 1939 przynosi robotniczemu Pabianicom zawieruchę wojenną i początek hitlerowskiej nocy. Wille i pałace Kruschów oraz Enderów do późnej nocy płoną mnóstwem świateł i tętnią hucznym gwarem. Fabrykanci świętowali z powodu wydarzeń, które niosą krew i śmierć robotnikom, przysporzyć miały właścicielom nowych zamówień, nowych możliwości zbytu, nowych strumieni złota.

Zakłady „Krusche & Ender SA” nie stają. Zakłady „Krusche & Ender SA” pracują pełną parą. Pracują dla hitlerowskiego Wehrmachtu. Dla frontu faszystowskiego. Kruschowie, Enderowie, Hadrianowie chciwie ciągną zyski. Łatwiej im teraz bogacić się niż kiedykolwiek indziej. Znikła groźba robotniczych strajków. Ludzka praca i ludzkie życie tańsze jest, stokrotnie tańsze, niż złoto. Nad przylączyłymi wraz z Łodzią do III Rzeszy Pabianicami zawisa groźny cień gestapo.

Lecz ów groźny cień nie zdoła stłumić błyskających w pomroce pierwszych świateł nadziei. Rok 1942 przynosi narodziny Polskiej Partii Robotniczej. W Pabianicach — jednej z mocnych twierdz proletariackiej walki, powstaje komórka PPR. W Pabianicach, pod bokiem Kruschów, Enderów i ręka w rękę z fabrykantami działającego gestapo, powstaje Gwardia Ludowa.

Kruschowie i Enderowie zdają się być u szczytu potęgi. Potęgą opartej na złotolitym gruncie pieniądza, na rządach twardej pięści, na groźbie Oświęcimia i szubienic.

Nie wiedzą, że wśród milczących robotników krąży ulotka „Światło o wojnie”, konspiracyjna gazeta „Trybuna Ludu”, komunikaty radiowe, mówiące o zwycięstwach Armii Czerwonej.

Nie wiedzą, że ludzie, żyjący w okupacyjnej nędzy, potrafią odmawiać sobie niezbędnych potrzeb, aby kupnem 10-markowych obligacji PPR wspierać fundusz walki z okupantem.

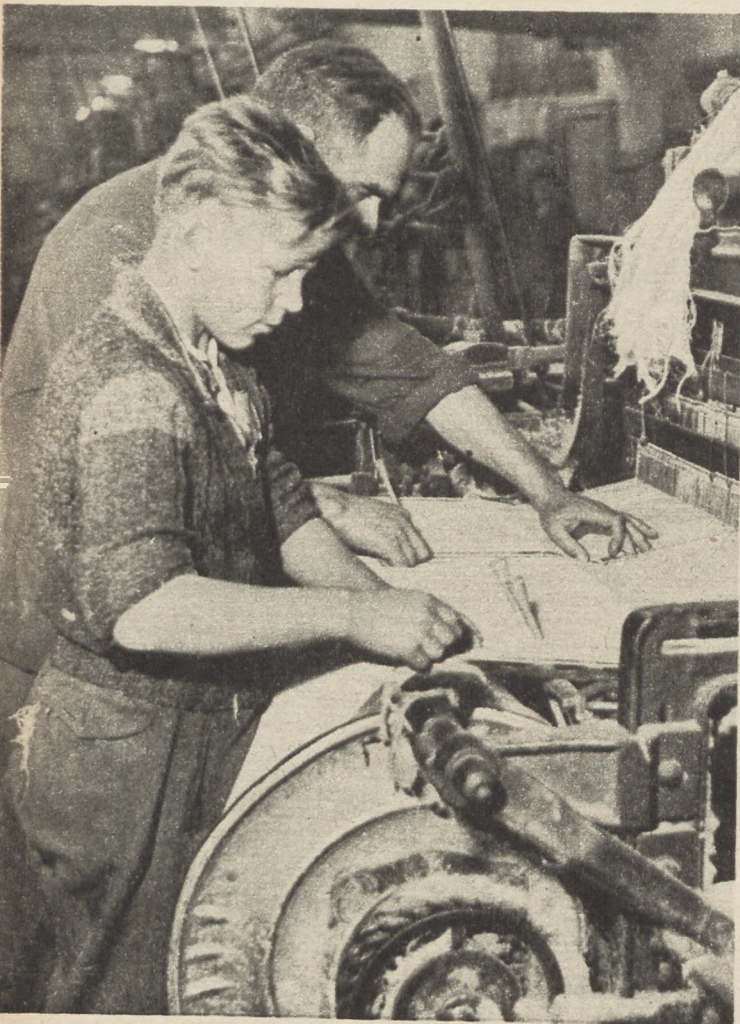
Nie wiedzą, że „zuchwali sabotażyści”, za których sprawą sypie się piasek w motory maszyn — to żołnierze Gwardii Ludowej. Żołnierze odważni i dzielni. Do takich należą gwardziści Książek i Karbowski, za których sprawą spłonęły magazyny bawełny. Do takich należy wielu innych, którzy umieją w podziemiu budować Partię, uderzać szeregiem przemysłowych ciosów w tryby faszystowskiej maszyny wojennej i w ucisk fabrykancki — a schwyłani przez gestapo podczas wielkiej wyspy w roku 1944, potrafią milczeć do ostatka.

Zwycięstwo stalingradzkie przynosi wzmogłą falę łapanek, aresztowań i represji — lecz przynosi także wzmogłą wiarę w kroczącą od wschodu wolność.

O przybliżeniu wolności walczą w podziemiu ludzie czerwonych Pabianic: ci, którzy pamiętają czasy Związku Robotników Polskich, którzy znali Marchlewskiego i widywali Dzierżyńskiego. Ci, dla których szkołą walki stała się KPP i ci, których wychował i hartował KZM. Razem z nimi kroczą ci, których okupacyjne lata zaprowadziły na drogę, wskazaną przez Polską Partię Robotniczą.

Styczeń roku 1945. Rusza od linii Wisły potężna ofensywa. Wicher swobody wieje nad polską ziemią.

W mroźnych dniach u progu roku, który będzie rokiem wolności, pabianiccy robotnicy dźwigają ramiona i prostują karki. W mroźnych dniach u progu roku, który położy kres rządowi panoszącemu się z dawien dawna na polskim gruncie kapitalistycznych pijawek — samochody i wozy zajeżdżają przed fabrykanckie pałace. Pustoszeją wytworne wnętrza. Stare drzewa pięknych ogrodów, które pamiętają lata Kruschego Pierwszego, mury, które pamiętają drugą generację potężnej rodziny — zdają się zastygać ze zdziwienia. Trąbią nje-



Dziś w dawnej fabryce Kruschów młodzież pod kierownictwem doświadczonych majstrów uczy się zawodu

DWA JĘZYKI

W JEDNYM z naszych czasopism literackich ukazują się co pewien czas reportaże z Korei, nadsyłane przez znanego literata polskiego, który przebywa w tym kraju już od kilku miesięcy. Reportaże te nie są pozbawione wartości literackich, gdyż autor ich — jak to się mówi — ma opanowany warsztat pisarski. Ponadto treścią korespondencji są najżywotniejsze sprawy kraju, który obecnie budzi najwyższe zainteresowanie w całym naszym społeczeństwie. Mimo to reportaże koreańskie nie wywołują u czytelników tak silnego oddźwięku, jak należałoby się spodziewać. Koledzy redakcyjni autora starali się niejednokrotnie wyjaśnić przyczyny tego dziwnego zjawiska. Wreszcie ustalili, że autor, jako beletrysta, „nie czuje“ widać gatunku reportażowego i wskutek tego reportaże nie „chwytają“. Mnie się natomiast wydaje, że prawdziwa przyczyna leży w czym innym.

Przed paru dniami jeden z przyjaciół autora reportaży pokazał mi prywatne listy, które otrzymał od niego z Korei. Po przeczytaniu pierwszego z tych listów ogarnęło mnie zdumienie. Z jednego prywatnego listu, pisanego do jednego przyjaciela, odczułem żywiej to wszystko, co dzieje się obecnie w Korei — niż z kilku wielkich reportaży, adresowanych do tysięcy czytelników.

To niezwykle odkrycie zachęciło mnie do bardziej szczegółowej analizy tego zjawiska. Porównałem z sobą treść listów i reportaży — i oto do jakich wniosków doszedłem.

Listy prywatne do przyjaciela i reportaże do czytelników mówią dokładnie o tych samych sprawach, lecz mówią o nich w całkowicie odmienny sposób, posługując się jak gdyby różnymi językami. Pisząc do przyjaciela, autor najwyraźniej wychodzi z założenia, że przyjaciel, tak samo jak on, czytywał w ciągu ostatnich miesięcy gazety codzienne i wie, co pisano w nich na temat Korei. Dlatego autor rozmawiając z adresatem jak równy z równym nie obciąża swego listu balastem podstawowego materiału politycznego od A do Z — lecz opisuje w nim swobodnie własne przeżycia, spostrzeżenia i refleksje na tematy zasadnicze, nie wstydzi się nawet opisu warunków, w jakich pracuje, i krajobrazu, na który patrzy. W rezultacie każdy z listów czyta się jak barwny, prawdziwie interesujący reportaż.

Natomiast przy pisaniu rzeczywistych reportaży autor zdaje się przyjmować metodę wręcz odmienną. Tu

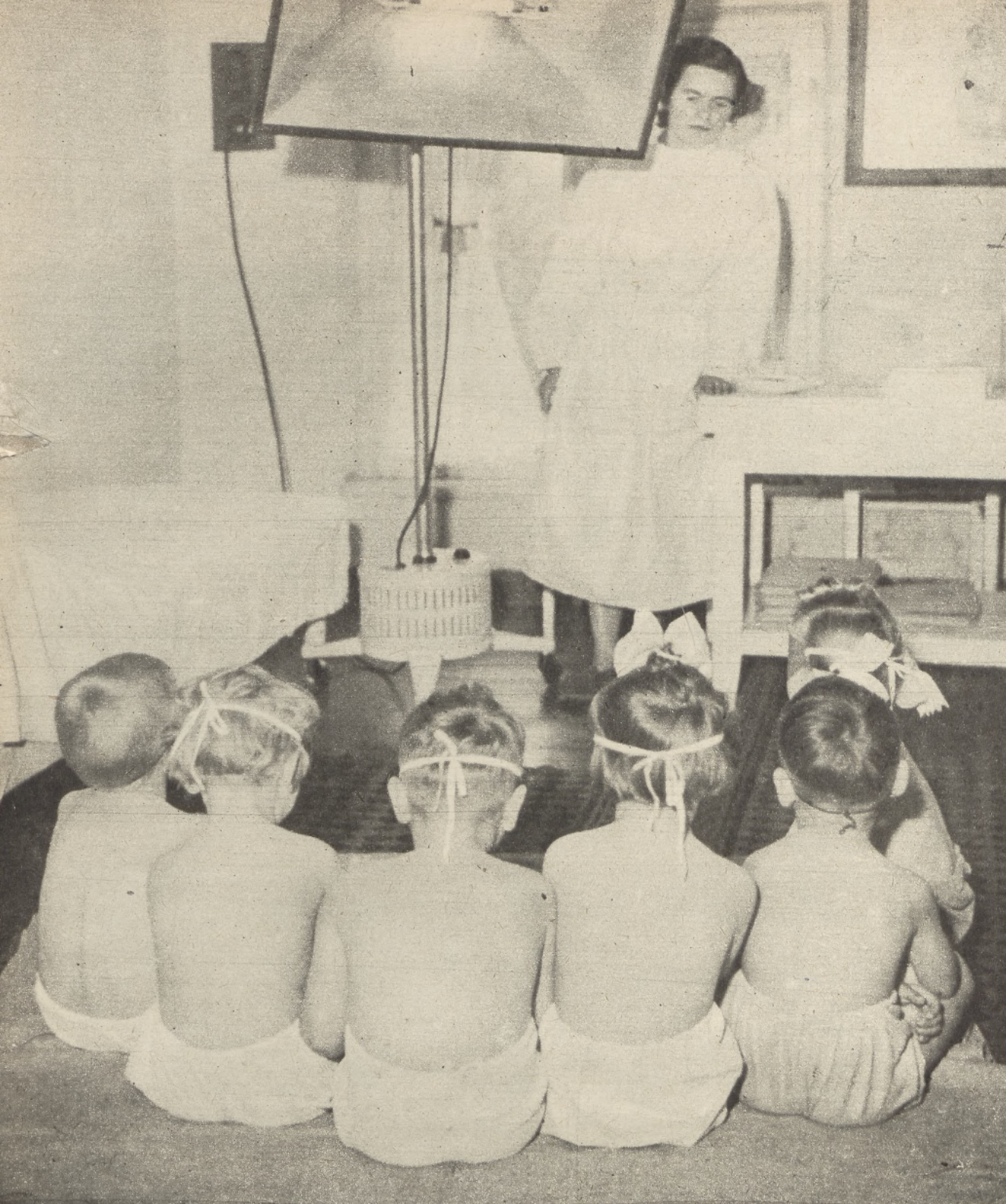


Rys. A. Perzyk

adresat jest traktowany nie jak „równy“, lecz jak człowiek, który nie wie o opisywanych sprawach i któremu wszystko trzeba wytłumaczyć od początku. Dlatego autor stara się wtłoczyć w reportaż całą obiektywną wiedzę o opisywanych faktach, nadając jej dla „ustrawnienia“ formę literackich obrazków. Osobiste spostrzeżenia i refleksje autora już się w reportażu nie mieszczą. W rezultacie zamiast barwnego, interesującego reportażu, powstaje... list, który nie trafia do adresata.

Być może, że w konkretnym wypadku sprawę nieco przejasniam. Ale nie chodziło mi przecież o konkretny wypadek. Chodziło o ujawnienie typowego zjawiska, polegającego na tym, że w naszej twórczości reportażowej coraz wyraźniej zanika integralna cecha reportażu — jego bezpośredniość.

Tę bezpośredniość trzeba reportażowi przywrócić. Bo dopóki reportaże będą tylko ilustrowanym wykładem wiedzy obiektywnej — a nie będzie w nich miejsca na własne spostrzeżenia i refleksje autora — dopóty będą nudne, schematyczne i nie trafią do czytelnika.



Przy fabryce istnieje żłobek i przedszkole. Zimą z brakiem słońca dają sobie radę: jest lampa kwarcowa

cierpliwie klaksony aut, skrzypią koła wyladowanych furmanek. Kruschowie i Enderowie czekali długo. Długo łudzili się wszechpotęgą Wehrmachtu i siłą ustroju, który niegdyś był im opoką, a który teraz, w dniach najpiękniejszego stycznia, jaki zna polska historia — trzeszczy w posadach i wali się w gruz.

Na zachód — póki czas!... Póki dróg panicznego odwrotu nie odetnie Armia Czerwona!...

Taka jest ostatnia wola i troska uciekających z Pabianic, po stuletnim przeszło panowaniu, Kruschów.

W halach fabrycznych, u krosien i warsztatów stoją robotnicy. Ci, których trudem i potem, pracą i krwią rosła fortuna Kruschów.

Ci, którzy w tutejszych zakładach pracowali jako dzieci po dziesięć, dwanaście, czternaście godzin na dobę.

Ci, których bił majster, znieważał dyrektor, śledził i denuncjował szpicel, ponieważ był faszystą.

Ci, których w pamiętnych dniach strajków nie opuszczali hal fabrycznych i którzy oznajmiali bojowym śpiewem: „Nie nam wyglądać zmiłowania z wyroków bożych z pańskich praw...“

Ocalili maszyny przed grabieżą i zniszczeniem. Zabezpieczyli hale, 3 miliony 800 tysięcy metrów tkanin. Zakasawszy rękawy, dźwigali do nowego życia spaloną przez faszystów przedziałnię.

W radosnych, lecz i trudnych dniach u progu roku 1945 sunęły ku pabianickiej fabryce ładowne ciężarówki.

Czerwona Armia wiozła robotnikom chleb.

2.

W halach fabrycznych pojawiły się urządzenia, o których za czasów Kruschego i Endera nikomu ani się nie

śniło: wentylacja, łaźnie, szatnie, natryski, urządzenia zapewniające bezpieczeństwo pracy...

Rozwija się klub robotniczy, koło sportowe, sekcja teatralna, ognisko muzyczne...

— Czy pamiętacie, towarzysze z Pabianic, długoletnią walkę o ludzkie warunki życia, o ośmiogodzinny dzień pracy, o prawo do chleba, spokoju, radości?

Przy fabryce istnieje żłobek i przedszkole. Z górą tysiąc dzieci wyjeżdża rokrocznie na kolonie letnie.

— Czy pamiętacie, towarzyszy z Pabianic, te czasy, kiedy kobietą poniewierał majster, kiedy od jego woli, brutalności, kaprysu zależała wasza praca, kiedy zamiast cieszyć się bliskim macierzyństwem, drżałyście przed groźbą bezrobocia? Czy pamiętacie lęk o dzieci, pozostawione bez opieki, o dzieci anemiczne, wątłe, zżerane szkarlatyną, czerwönką, gruźlicą?

Czy pamiętacie te czasy, kiedy matki karmiły niemowlętą pracomaszyną, kiedy dzieci ośmioletnie pracowaly przynajmniej wiele godzin, bity i popychane na każdym kroku?...

Czy pamiętacie, towarzysze, wybory w roku 1928? Pamiętacie, jak nocą składaliście po raz drugi podpisy na liście, na „swojej liście“ — po raz drugi, bo pierwszą listę unieważniła policja? — Pamiętacie, jak ciągnęto was na posterunek, jak policjanci pytali z groźbą w głosie: — Komunistyczną listę podpisujecie?... A wy dumnie i twardo odpowiadaliście na to: — Tak!...

Dziś wasi przedstawiciele zasiadają w Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

3.

W dawnym pałacu zimowym rodziny Kruschów na ulicy dziś nazwanej imieniem Armii Czerwonej do późna płoną światła.

Tu mieści się Komitet Zakładowy PZPR.

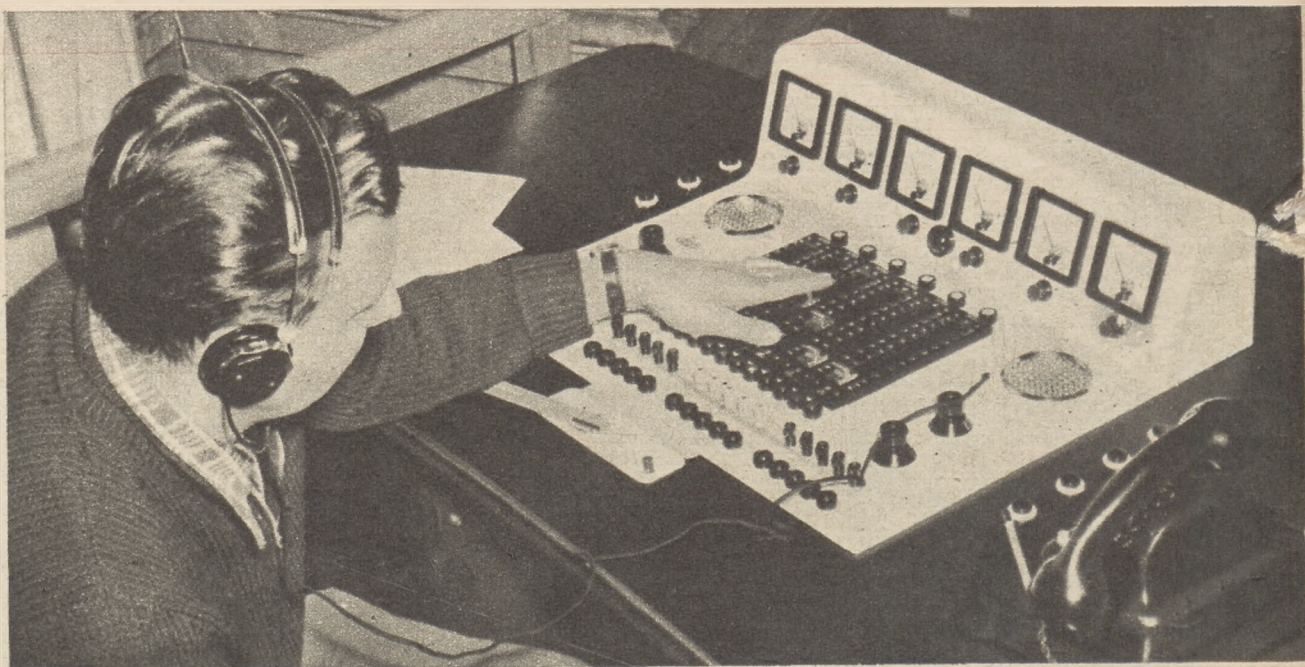
Tu bije serce nowych Pabianic.

KONIEC



Zeby się babcia nie zgubiła... wokół zamkniętego obszaru, gdzie obraduje Wielka Czwórka, stoją tablice informacyjne

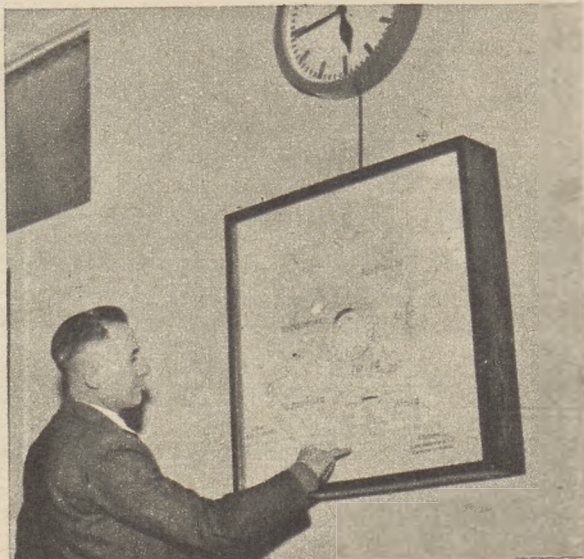
POZA SALĄ



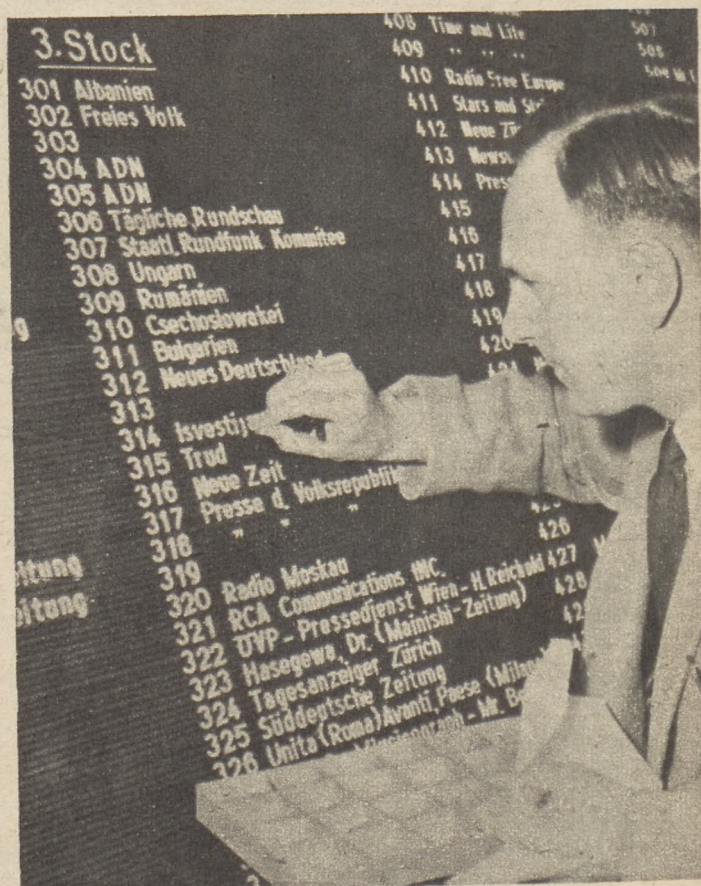
Skomplikowana aparatura pozwala przełożyć natychmiast przemówienia delegatów na jeden z trzech urzędowych języków Konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych: na język rosyjski, angielski lub francuski



Ostatnie pociągnięcia pędzlem i dworzec berliński w Trep-tow gotów będzie na przyjęcie delegatów na Konferencję



Specjalny „miedzynarodowy” zegar pozwala ustalić, która godzina jest w Moskwie, Tokio czy New-Yorku



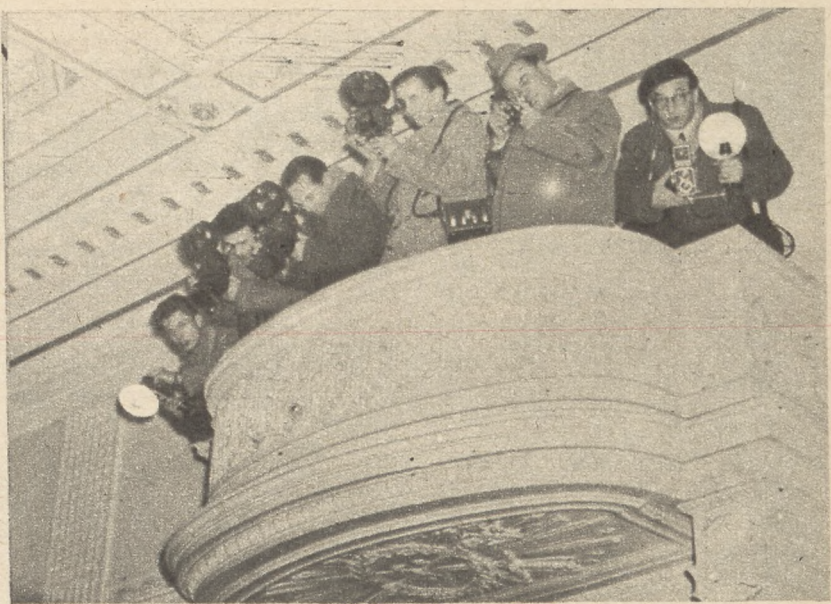
Można żyć ze sobą w zgodzie. W domu prasy mieszkają obok siebie dziennikarze radzieccy, amerykańscy, polscy, włoscy...

Podczas gdy na sali obrad Konferencji toczy się batalia o pokój i bezpieczeństwo w Europie, przed gmachem stoją „bratersko” obok siebie samochody ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Francji, ZSRR i USA



Trudna i odpowiedzialna jest praca tłumaczy Konferencji





Do Berlina przybyły setki dziennikarzy zagranicznych. „Oczy prasy” — fotoreporterzy — bez przerwy „polują” na ministrów czterech mocarstw.



Wzdłuż ulic prowadzących do gmachu obrad Konferencji Czterech Włamy berlińczyków oczekują codziennie na przejazd delegacji radzieckiej



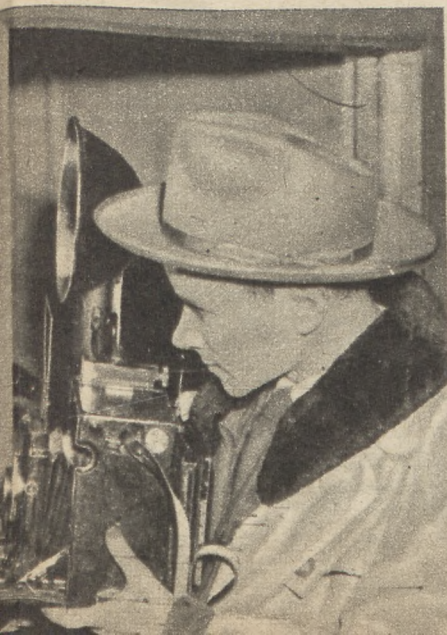
To nie są kabiny kąpielowe, lecz nowoczesne rozmównice telefon'czne, zainstalowane dla dziennikarzy przybyłych na Konferencję berlińską

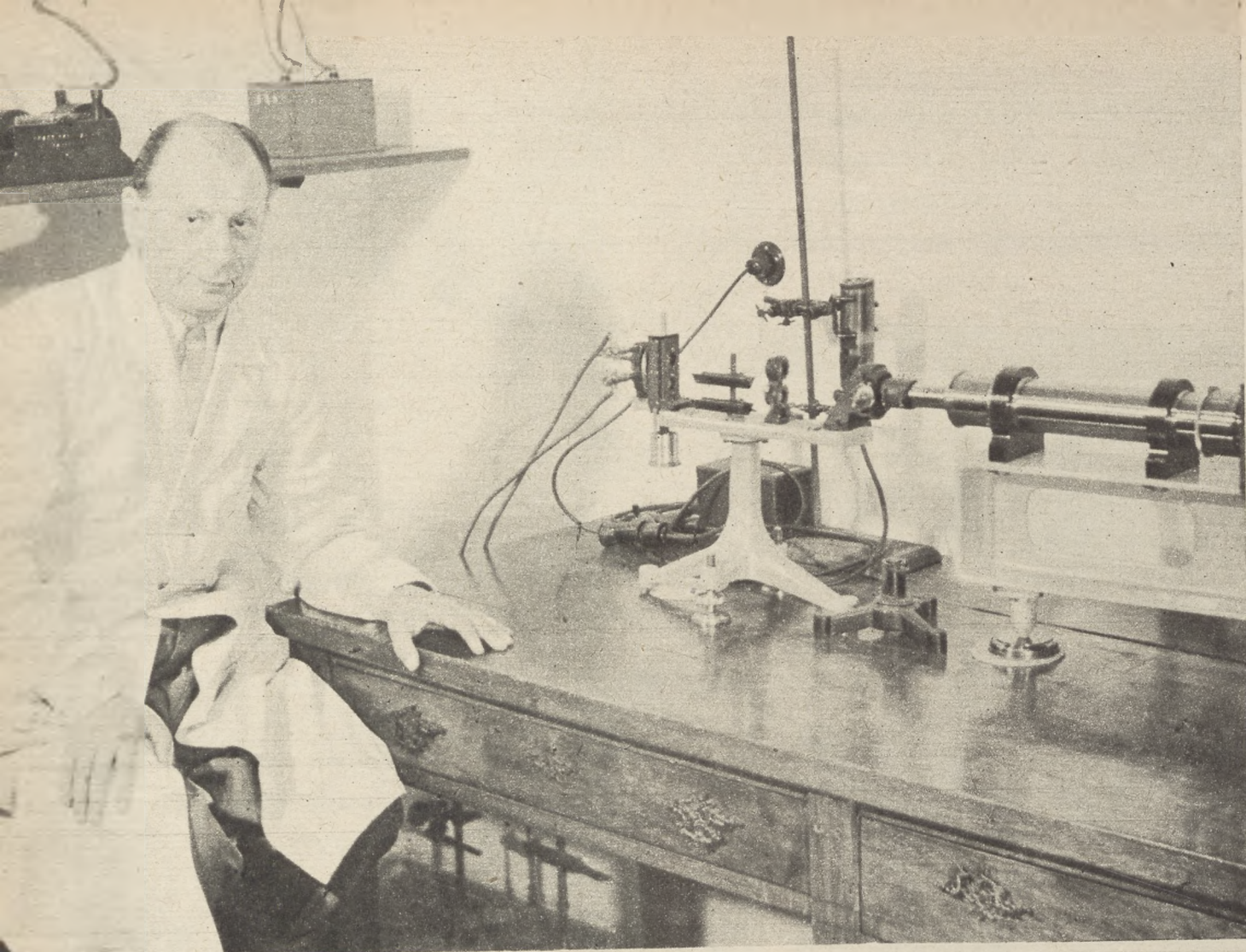
Dzień w dzień do późnych godzin nocnych trwają obrady berlińskiej Konferencji czterech ministrów. Minister ZSRR Władysław Mołotow w otoczeniu członków delegacji radzieckiej udaje się na salę obrad

Stop. Kontrola dokumentów...

Na zdjęciu — tłumacz radziecki

Proszę Warszawę... prego Roma... bitte Wien... Centrala telefoniczna jest bez przerwy obłożona





Prof. Bolesław Skarżyński, kierownik Zakładu Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Krakowie

Dialogi o biochemii (1)

CHEMIA ŻYCIA

ADAM HOLLANEK

Fot. K. JAROCHOWSKI

NIE ŁATWO jest zacząć rozmowę na temat biochemii. Imię tej młodej, wiele obiecującej nauki technicznie surowością i powagą: w wyobraźni zwykłego śmiertelnika zaczynają defilować setki skomplikowanych, trudnych do opanowania wzorów chemicznych...

Wrażenie potęguje jeszcze niecodzienne wnętrza, na które patrząc: małe szklane miasto, błyszczące wieżami probówek, blokami akwariów i oknami soczewek różnokształtnych aparatów.

Z kłopotu wybawia mnie profesor Bolesław Skarżyński, członek PAN i kierownik tego właśnie zakładu naukowego, który nazywa się Zakładem Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Krakowie. Powiada:

— Może zaczniemy od przykładów łączności biochemii z codzienną praktyką życiową? To pozwoli nam zbliżyć temat... Widzę na pana palcu opatrunk. Prawdopodobnie skaleczył się pan i palec krwawił, ale po krótkim czasie ciekła krew zamieniła się na powierzchnię rany w galaretowatą masę, a wreszcie w przylegający do ranki twardy strup. A więc krew skrzepła — wytworzyła naturalny opatrunek dla skaleczonego miejsca. I tu właśnie otwiera się zagadnienie, którego rozwiązaniem nauka oczekuje od biochemii: dlaczego krew płynąca w naczyniach krwionośnych pozostaje płynna, a po wydostaniu się z tętnicy lub żyły — krzepnie? Sprawą tą zajmuje się biochemia od dziesiątków lat. Poznano już na tyle chemiczny proces krzepnięcia krwi, że rozpoczynamy obecnie licznymi sposobami przyspieszania krzepnięcia albo — na odwrót — niedopuszczania do tego

procesu. Jakże to musi mieć znaczenie dla medycyny praktycznej — można sobie łatwo wyobrazić...

— To był przykład lekarski, panie profesorze, czy jednak biochemia ogranicza swą praktyczną działalność do tej jedynie dziedziny nauki?

— Bynajmniej. Weźmy zupełnie inny przykład. Wzrost plonów zależy w dużej mierze od intensywnego stosowania nawozów sztucznych, w które państwo nasze zaopatruje rolnika. Stosowanie nawozów, to właśnie ostateczny efekt wielu dziesiątków lat wysiłków biochemików. Oni to systematycznie badali skład chemiczny roślin, ich potrzeby w zakresie składników mineralnych gleby, warunki przyswajania tych substancji przez roślinę. Dzisiejsze praktyczne nauki rolnicze zawisłyby w próżni bez biochemicznych podstaw.

Jeszcze inne przykłady? No, to pomówmy o piwie. Podczas upałów lubimy się chłodzić tym napojem, który jest przecież życiowym produktem odpowiednich drobnoustrojów. Drobnoustroje rozkładają cukier na alkohol i kwas węglowy. Procesy fermentacji spowodowane przez drobnoustroje zna ludzkość od prawników i od bardzo dawna wykorzystuje na szeroką skalę do przygotowania pokarmów i napojów...

— No tak, jeszcze przy wypieku chleba, kiszeniu kapusty i ogórków... Jaka tu jednak rola biochemika?

— Żmudna praca biochemików wyjaśniła łańcuch procesów chemicznych, wyzwalanych przez bakterie i grzyby. Dziś nie tylko wiemy, na czym rozmaite

fermentacje polegają, ale znając je dokładnie — możemy nimi kierować. Potężny przemysł fermentacyjny to nic innego, jak na wielką skalę stosowana biochemia.

— Przekonał mnie pan, profesorze, że biochemia jest nauką ściśle powiązaną z codzienną praktyką życiową i że z jej zagadnieniami spotykamy się na każdym niemal kroku. Odebrało to wiele powagi jej surowej nazwie, nie podważając ważności problemów tej dziedziny wiedzy ludzkiej...

— Właśnie o ważności biochemii pragnąłbym pomówić. Uprościłbym bowiem zbyt ten temat naszej rozmowy, gdybym przestał tylko na podkreśleniu jej praktycznego znaczenia. Jak każda nauka — tak i biochemia powstała jako konieczność wytłumaczenia zasad praktycznej działalności ludzkiej, jej ostateczne cele leżą znacznie dalej. Jest ona gałęzią nauk przyrodniczych, która sięga najgłębiej w labirynt procesów, stanowiących istotę życia. Istotę życia najtrafniej oddaje definicja, którą sformułował Fryderyk Engels: „Życie jest to sposób istnienia ciał białkowych, a sposób ten polega w istocie na ciągłym samoodnawianiu się chemicznych składników tych ciał”. Dla współczesnego biologa, wolnego od wszelkich idealistycznych nawyków myślenia, życie jest pewną formą ruchu materii, jest zawiłym zespołem procesów chemicznych, rozgrywających się w obrębie materii o odpowiedniej chemicznej strukturze — procesów ogólnie nazwanych „przemianą materii”. A ponieważ życie to proces chemiczny, właśnie chemia, jej metody badawcze i jej pojęcia — mogą nas zbliżyć najbardziej

do poznania elementarnych przejawów życia. Cel, jak widać, pozornie teoretyczny, ale osiągnięcie go kryje w sobie nieobliczalne możliwości dla ludzkości.

— Zapewne ma pan profesor na myśli takie zasadnicze dla nas sprawy, jak walkę z chorobami trapiącymi człowieka, na przykład z rakiem; a może nawet opanowanie sposobów przedłużania młodości i długości życia...

— Tak, to są perspektywiczne możliwości biochemii.

— A jej bieżące zadania w naszym kraju?

— Olbrzymie. Służba zdrowia i rolnictwo to najważniejsi odbiorcy osiągnięć tej nauki. Wiele ważnych zadań Planu 6-letniego oraz dalszego, 5-letniego, wiąże się ściśle ze współpracą biochemii. Rozbudowa naszej bazy państwowej, walka ze szkodnikami w rolnictwie, racjonalne odżywianie społeczeństwa — oto tylko kilka spośród tych zagadnień.

— Czy nauka ta ma u nas głębokie tradycje?

— Nie potrzebujemy się wstydzić pozycji naszej biochemii w nauce światowej. U kolebki nowoczesnej chemii życia, jako jeden z jej twórców, stoi nasz wielki rodak, zmarły w roku 1901 w Petersburgu — Marcei Nencki. Zaprowadził zasadnicze badania nad chemicznym trawieniem i wreszcie stworzył podwaliny dla wyjaśnienia budowy chemicznej barwnika krwi — hemoglobiny. Nieco młodszy od niego, Leon Marchlewski, stworzył nowy dział biochemii roślin: chemię zielonego barwnika liści — chlorofilu. Co najciekawsze, ci dwaj świetni badacze, pracując przez długie lata niezależnie od siebie, nawiązali wreszcie współpracę. Wynikiem jej było stwierdzenie zasadniczego dla biologii faktu, że czerwona hemoglobina i zielony chlorofil są blisko ze sobą spokrewnione pod względem chemicznym, że stanowią dwie odnogi wspólnego pnia.

— Czy obok krakowskiego dużo mamy w Polsce ośrodków biochemii?

— Muszę zwrócić uwagę przede wszystkim na ośrodek wrocławski, pozostający pod kierunkiem profesora Baranowskiego. Specjalizuje się w chemii białek. W Warszawie profesor Heller rozwija badania nad chemicznym drobnoustrojów chorobotwórczych, a poza tym jest jednym z najwybitniejszych w świecie naukowym badaczy chemizmu owadów. Ten szczególny dział biochemii to pewnego rodzaju specjalność polska, gdyż w Łodzi prowadzi badania jeszcze jeden reprezentant chemii owadów — prof. Niemierko. Państwowy Zakład Higieny w Warszawie zajmuje się antybiotykami i chemią żywienia. Ale placówki służby zdrowia nie monopolizują biochemii. Coraz więcej szkół wyższych i instytutów badawczych organizuje pracownie biochemiczne.

— Wiele mówiliśmy, panie profesorze, o szerokim wachlarzu zagadnień biochemii, naszkicował pan działalność różnych placówek biochemicznych w kraju — a jak wygląda Wasza praca i nad czym się w niej pracuje?

— Spodziewałem się tego pytania i zapraszam do zwiedzenia naszego zakładu. Pomówimy sobie przy tym o — zielonych roślinkach, o bakteriach, o „elektrycznych robotnikach” rozdzielających białka i wielu innych sprawach.

Dalszy ciąg nastąpi

FOTO

KORSPONDENCI DONOSZA

A CO NA TO MŁODZI?



Jan Skorupka na mecie po 15-kilometrowym biegu

Ciekawe, co by powiedział autor „Notatnika zapaleńca” w „Świecie”, gdyby zobaczył taki obraz: boisko sportowe, bieżnia, a na niej starszy człowiek w krótkich spodenkach i koszulce. Robi okrażenie jedno, drugie, trzecie. Gdzieś przy szóstym „Zapaleńcu” zaczęłyby się chyba dziwić, a po piętnastym napisaliby zapewne felieton.

Tym starszym bowiem człowiekiem jest emeryt PKP, Jan Skorupka z Nowego Sącza, który w 67 roku życia z powodzeniem uprawia jeszcze sport. Ciekawe, ilu też ludzi w jego wieku przebiegnie piętnaście okrażeń boiska, gdy jedno okrażenie wynosi około 400 m.

Kiedy kolejarze nowosądecy zdawali SPO, jednym z pierwszych „dobywców” odznaki był Jan Skorupka. A niech tylko spadnie śnieg, już go nie ma w domu. Gdy w styczniu tego roku w Ptaszkowej odbywały się powiatowe mistrzostwa narciarskie (przy tej okazji otwarta została nowa skocznia) — na liście „piętnastokilometrowców” figurowało nazwisko: Jan Skorupka (numer startowy 57). Choć warunki tego dnia były wyjątkowo ciężkie,

dął bowiem silny wiatr, a na trasie chłupotało błoto — numer 57 przyszedł do mety w zupełnie dobrym czasie.

Jan Skorupka jest posiadaczem brązowej odznaki Polskiego Związku Narciarskiego, wysokogórskiej odznaki narciarskiej i Górskiej Odznaki Turystycznej. A co najciekawsze, że za młodo nie zajmował się bynajmniej sportem. Zapytany, co go skłoniło do tego, by w tym wieku zaczął uprawiać sport, mówi:

— Kiedy przed trzema laty poszedłem na emeryturę, pomyślałem sobie, że trzeba się czymś zająć. No i zająłem się... Latem systematycznie trenuję biegi, a zimą narciarstwo.

Jan Skorupka ma w tej dziedzinie poważne sukcesy. Wystarczy przejrzeć dyplomy: dyplom uznania Prezydium PKKF w Nowym Sączu za bieg 12-kilometrowy na nartach, następnie za bieg 15-kilometrowy, wreszcie za zasługi położone na polu umasowienia i upowszechniania kultury fizycznej i sportu na terenie miasta i powiatu nowosądeckiego.

A co na to młodzi?

J. Dąbrowski, Nowy Sącz

MALI MANDOLINIŚCI



Dziecięcy zespół mandolinistów z Biłgoraja z kierownikiem szkoły i przewodniczącym komitetu rodzicielskiego

Kiedy w styczniu ubiegłego roku podstawowa szkoła w Biłgoraju zaczęła organizować dziecięcy zespół mandolinistów, trzeba było pokonać wiele trudności, oporów, niechęci, towarzyszących — jak zwykle — powstawaniu czegoś nowego.

Brakowało instrumentów muzycznych, nie było funduszy na ich uzupełnienie, a i rodzice niezbyt chętnie patrzyli na nowy pomysł i nie chcieli zapisywać dzieci do zespołu twierdząc, że „na to po prostu szkoda czasu”.

Mimo wszystko zespół zorganizowano, a instrumenty dzięki staraniom komitetu rodzicielskiego zakupiono z funduszy Miejskiej Rady Narodowej. Zespół, w którego skład weszli producujący uczniowie i uczennice III, IV i V klasy, prowadził kierownik

szkoły Tadeusz Orłowski, w pracy pomagała mu jego żona Stanisława.

Po dwóch miesiącach okazało się, że rezultaty są niespodziewanie dobre. W kwietniu zespół powiększył się o 10 nowych członków.

Dziś, po roku pracy, dziecięcy zespół mandolinistów — pierwszy na terenie województwa lubelskiego — ma już na swym „koncie” 30 występów: w szpitalu miejskim, w Domu Dziecka w Teodorowie, na rozmaitych uroczystościach szkolnych i powiatowych. Ze koncerty te były udane i że młodzi mandoliniści zyskali sobie sympatię społeczeństwa. Świadczą najlepiej liczne uwagi i serdeczne słowa podziękowań, jakie możemy przeczytać w kronice zespołu.

T. Hudecki, Wołyn

Szczawno - Zdrój, znane uzdrowisko dolnośląskie, otrzymało niedawno nową placówkę leczniczą. Jest nią, uruchomione w dniu 1 stycznia tego roku, sanatorium dla pracowników PKP i ich rodzin. Zajmuje ono dwa pięknie wyremontowane pawilony, które zapewniają doskonałe warunki pobytu sturacjuszom.

Pierwszy turnus już się rozpoczął. Kuracjusze przybyli z różnych stron kraju. Są tu m. in. i Władysław Rowiński, ustawiacz ze stacji Warszawa - Praga, Adam Gryglewicz, maszynista z Poznania, Helena Rys, pracownica DOKP z Krakowa, Teofil Ton, racjonalizator z Inowrocławia, Mikołaj Suliwoński z DOKP w Gdańsku.

Wszyscy są bardzo zadowoleni z pobytu w sanatorium: chwalą wygodne i ładne pokoje i smaczne, obfite pożywienie, a przede wszystkim z uznaniem wyrażają się o troskliwej opiece lekarskiej i całego personelu pomocniczego.

Jeden z kuracjuszy, Stefan Tippe, magazynier i przodownik pracy ze stacji Kraków - Płaszów, który — jak większość pacjentów — cierpi na astmę, powiedział: — Pobyt w sanatorium służy mi doskonale; z każdym dniem czuję się lepiej. Jestem zachwycony urządzeniami w tutejszym Instytucie Przyrodolecznictwa, z których korzystają ludzie pracy, a nie — jak dawniej — bogacze.

A. Koczyński,
Szczawno-Zdrój

DO REDAKCJI TYGODNIKA „ŚWIAT”

W związku z ukazaniem się korespondencji p.t. „To jest też brakoróbstwo”, kierownictwo Ośrodka Hotel Robotniczych w Warszawie przy ul. Elektralnej 114 nadesłało następujące oświadczenie:

„Kierownictwo Ośrodka Hotel Robotniczych i Dział Kulturalno - Oświatowy docenia krytykę i czerpie z niej doświadczenia, ale krytyka słuszną, która poucza i wytyka niedociągnięcia w pracy. Jednak wspomniana korespondencja z dnia 3. I. 1954 r. postulatów tych nie spełnia, ponieważ:

1. Nikt z kierownictwa OHR nigdy żadnego radiodziennika nie brał i nie bierze do mieszkania prywatnego;

2. Nieprawdziwe jest twierdzenie, że w świetlicach Ośrodka nie ma gier towarzyskich, stołów ping-pongowych itp. OHR posiada 150 kompletów warszawskich, 62 komplety szachów, 27 kompletów domina oraz wiele innych gier. Poza tym posiada 12 kompletnych stołów ping-pongowych;

3. Korespondent rozmija się również z prawdą pisząc, iż Ośrodek nie rozprowadza biletów do kin i teatrów wśród mieszkańców hoteli. W ostatnim kwartale ub. roku wśród mieszkańców wszystkich bloków rozprowadzono 1600 biletów do kin i 268 do teatrów oraz wiele biletów na inne imprezy kulturalne.

4. Nieprawdą jest, iż nie organizuje się wycieczek do muzeów, przeciwnie, wycieczki organizuje się nie tylko do muzeów, ale i do innych ośrodków, jak np. do nowoorganizowanej spółdzielni produkcyjnej w Jazgarzewie.

Prawdą jest tylko to, że związek zawodowy pracowników budowlanych do chwili ukazania się korespondencji nie dostarczyły nam instrumentów muzycznych.

Kierownictwo OHR, nadsyłając to sprostowanie, prosi o umieszczenie go w dziale „Nasi korespondenci donoszą”, gdyż zamieszczona przez was korespondencja Jerzego Tomczaka wyrządziła krzywdę ob. Stefanowi Gorackowskiemu, kierownikowi działu kulturalno - oświatowego naszego ośrodka hoteli robotniczych, który w organizację świetlic włożył wiele wysiłku i zapału”.

Od redakcji.

Umieszczając sprostowanie, wyjaśniamy przy sposobności, że po zbadaniu sprawy okazało się, iż korespondent nie kierował się złą wolą, a otrzymał jedynie nieścisłe i nieprawdziwe informacje.



W jadalni sanatorium przy kolacji

NA MURACH TEATRU WIELKIEGO



Bolesław Olechno na budowie Teatru Wielkiego

Pomiędzy Placem Teatralnym a Placem Zwycięstwa w Warszawie powstał potężny teren budowy. Powstaje tu jeden z największych obiektów kulturalnych naszej stolicy — Teatr Wielki.

Kierownikiem jednej z brygad młodzieżowych, wznoszących mury Teatru Wielkiego, jest Bolesław Olechno, wielokrotnie i zasłużony przodownik pracy.

Bolesław Olechno liczy dwadzieścia osiem lat i jest synem robotnika ze Świeciana. W Polsce przedwojennej i w okresie hitlerowskiej okupacji nęcza i głód niezmieniły towarzyszyły jego dzieciństwu i wczesnej młodości. Sytuacja zmieniła się dopiero wówczas, gdy żołnierze w szarych szynielach, z czerwonymi gwiazdami na czapkach, wyzwolili ziemię polską. Olechno wstępuje do Wojska Polskiego i przechodzi klubowy szlak bojowy. Bierze udział w forsowaniu Nysy,

walczy pod Dreznem, jest dwukrotnie ranny.

Po zakończeniu wojny Olechno zgłasza się do pracy w budownictwie. Pracuje przy budowie domów mieszkalnych na Nowym Świecie, stawia piękne bloki Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, a potem — mieszkania dla hutników ze Stalowej Woli, ucząc tamtejszych murarzy zespołowych metod pracy i przyswojenia już „warszawskiego tempa”.

Brygada Olechny staje się słynna w całym Warszawskim Zagłębiu Budowlanym. Kiedy członkowie jej, przepasani czerwonymi szarfami przodowników pracy, w dniu 22 lipca 1952 r. defilowali przed towarzyszem Bierutem — wi-

tały ich serdeczne oklaski zebranych.

Teraz na budowie Teatru Wielkiego murarze z brygady Bolesława Olechny spisują się również doskonale.

Szkoda tylko, że o tym zasłużonym budowniczym Warszawy, odznaczonym „Odznaką Przodownika Pracy”, zapomniał Wydział Kwaterunkowy. Bolesław Olechno bowiem mieszka wraz z żoną i dwuletnim synkiem na odległym Ursynowie, w ciasnocie, wilgoci i bardzo prymitywnych warunkach. Czyżby Wydział Kwaterunkowy uważał, że ci, którzy budują nowe domy, nie powinni w nich mieszkać?

T. Czabański, Warszawa
Fot. L. Prymaka

W PRACOWNIACH PLASTYKÓW POLSKICH

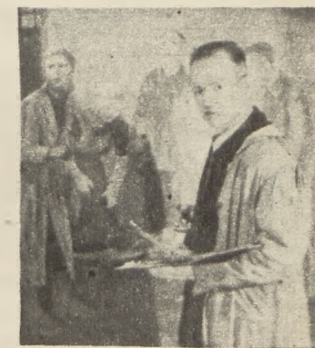
W związku ze zbliżającą się dziesiątą rocznicą wyzwolenia Polski, artyści - plastycy kończą prace przy nowych obrazach historycznych. Treścią ich są niektóre momenty wyzwolenia walki polskiej klasy robotniczej i najwspanialsze osiągnięcia Polski Ludowej.

Na naszym zdjęciu widzimy łódzkiego artystę - plastyka E. Slepikowskiego, przy wielkim płótnie „Śmierć Hanki Sawickiej”. Obraz ten nie jest jeszcze ukończony. Na warsztacie artysty znajduje się również kilka innych, nieco mniejszych obrazów, również odzwierciedlających bohaterką walkę PPR z okupantem.

W samej tylko Łodzi nad obrazami, przeznaczonymi na

wystawę 10-lecia Polski Ludowej, pracuje kilkunastu malarzy.

Włodzisław Baranowski, Łódź



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

KRAJOWE PAPIERY FOTOGRAFICZNE

J. Świerczewski z Kołobrzegu zapytuje nas, co oznaczają liczby na etykietach papierów fotograficznych krajowej produkcji, np. B 42 — 111 K, czy też B 34 — 321 K itp.

Ponieważ sprawa ta interesuje wszystkich fotoamatorów, wykonujących własnoręcznie powiększenia i kopie stykowe, wyjaśniamy:

Pierwsza litera z lewej strony etykiety, „B” lub „C”, oznacza rodzaj papierów — bromowych (B) do powiększeń i chlorowych (C), mniej czułych, do fotografii stykowych. Stojące przy literze dwie cyfry, oznaczają stopień

kontrastowości papieru. Papier bardzo miękki — 66”, miękki — 58”, specjalny — 50”, normalny — 42”, twardy — 34”, bardzo twardy — 26”.

Z prawej strony etykiety widzimy grupę trzech cyfr. Pierwsza z nich oznacza barwę podłoża papieru: 1 — białoniebieska, 2 — czysto biała, 3 — białoróżowa, 4 — jasno-kremowa, 5 — kremowa. Druga cyfra oznacza: 1 — powiększenie błyszczące, 2 — półmatowe, 3 — matowe. Trzecia wreszcie cyfra symbolizuje charakter powiększenia: 1 — gładka, 2 — drobnoziarnista, 3 — ziarnista, 4 —

gruboziarnista, 5 — rastrowa jedwabista.

Obok tych cyfr znajduje się litera „K”, „C” lub „P”, oznaczająca grubość papieru — karton, cienki, półkarton.

Tak więc np. skrót: B 34 — 531 K oznacza papier bromowy, o gradacji twardej, matowy, gładki, karton.

Na prośbę kilku Czytelników podajemy obiecaną poprzednio tabelę głębi ostrości dla obiektywów o ogniskowej 10,5 cm. Tabele głębi ostrości dla ogniskowych krótszych zamieściliśmy już poprzednio w naszym dziale.

Tabela głębi ostrości dla obiektywów o ogniskowej 10,5 cm

Przysłona	ODLEGŁOŚĆ FOTOGRAFWANEGO PRZEDMIOTU W METRACH									
	1	1,5	2	3	5	8	10	20	30	∞
3,5	0,97 — 1,03	1,43 — 1,58	1,88 — 2,14	2,73 — 3,33	4,6 — 6	6,3 — 10,9	7,5 — 15	12 — 60	15 — ∞	30 — ∞
4	0,96 — 1,04	1,42 — 1,59	1,86 — 2,17	2,69 — 3,39	4,2 — 6,2	6,1 — 11,5	7,2 — 16	11,5 — 85	14 — ∞	26 — ∞
5,6	0,95 — 1,06	1,39 — 1,63	1,81 — 2,24	2,59 — 3,55	4 — 6,8	5,6 — 14	6,5 — 22	10 — ∞	12 — ∞	19 — ∞
8	0,93 — 1,08	1,35 — 1,69	1,74 — 2,36	2,45 — 3,9	3,6 — 8,1	5 — 21	5,7 — 42	8 — ∞	9 — ∞	13 — ∞
11	0,9 — 1,12	1,29 — 1,79	1,65 — 2,55	2,25 — 4,4	3,3 — 11	4,3 — 57	5 — ∞	6 — ∞	7 — ∞	9 — ∞
16	0,87 — 1,18	1,22 — 1,94	1,54 — 2,85	2 — 5,5	2,8 — 21	3,6 — ∞	4 — ∞	5 — ∞	5 — ∞	7 — ∞
22	0,82 — 1,28	1,16 — 2,23	1,4 — 3,5	1,8 — 8,5	2,4 — ∞	3 — ∞	3 — ∞	4 — ∞	4 — ∞	5 — ∞



Samek-Gąsienica jest jednym z „odkrywców” trasy, którą można poprowadzić po zboczach Ciemniaka



Jan Ciaptak-Gąsienica uważa, że zjazd z Ciemniaka będzie „niełatwą szaradą” dla naszych narciarzy...

Najwszechstronniejszy narciarz polski Stefan Dziedzic uzyska na nowej trasie szerokie możliwości treningu.



„SIUMNA” TRASA

JERZY SUSZKO

Zdjęć: W. WERNER



IELIŚMY się wybrać razem...

Obudziłem się, gdy było jeszcze ciemno. Halały białe w okna, gwizdał w piecu, próbował podważyć dach — aż dyle trzeszczały. Po szybach spływały strużki deszczu.

Zima, jak zmokła kura, przysiadła pod Giewontem, w zakopiańskiej dolinie triumfowały ciepłe fale powietrza.

— Spój, spój — mruknął mój towarzysz — w taki czas psa nie wygnasz z chałupy, a co dopiero mówić o wycieczce w góry. Poczekajmy na lepszą pogodę... Oni też nie pójdą...

A jednak tamci poszli. Poszli we dwóch, wykorzystując dzień wolny od treningu. Desek nie brali. Samek-Gąsienica poszedł w filcowych pantoflach, a Józek Marusarz w taternickich „skokach”. Był to dla nich spacer. Obrócili w pół dnia. Na obiad byli już z powrotem w „Imperialu”, gdzie kwaterują polscy zjazdowcy, przygotowując się do narciarskich mistrzostw świata.

Obstąpili ich wszyscy: Ciaptak, Staszek Wawrytko, Rój-Gąsienica, Dziedzic, Pąkała, Symek Zarycki.

— No i jak wam się ona wydała? — pytali.

Samek-Gąsienica odpowiedział za siebie i za Józka Marusarza.

— Mówię wam chłopcy, że to będzie „siumna” trasa.

Od lat szukają zakopiańczycy u siebie w Tatrach „siumnej” trasy zjazdowej, która by zaćmiła sławą i jakością alpejskie i skandynawskie. Wstyd im obu FIS-ów (trasy zjazdowe z Kasprowego), które choć szybkie, zaliczają się już do „antyków”, nie odpowiadających wymogom najnowszej koncepcji zjazdu.

Zakopane ogromnie poczuło się dotknięte w swej dumie, kiedy Śląsk z triumfem obwieścił światu, że na stokach Skrzycznego w Szczyrku ma trasę zjazdową, której mu nie tylko Tatry, ale i Alpy pozazdroszą. Wprawdzie jest to trasa „nie uzbrojona”, tzn. bez wyciągu czy kolejki, ale niech się tylko na nie Śląsk zdobydzie, to beskidzkie „kosy” (tak nazywają na Śląsku doskonałych narciarzy) wnet zagrożą zakopiańskim zjazdowcom.

A co zakopiańczycy na to?

Zakopiańczycy mówią: racja! Bez nowoczesnej trasy zjazdowej w Tatrach zostaniemy w tyle za Ślązakami, którzy będą trenować na swoich „pieruńskich” muldach, bulach i padakach.

Nowoczesność tras zjazdowych polega właśnie na owych nierównościach terenowych, na licznych skrętach, które ogromnie podnoszą stopień trudności. Przedtem na zjazdy wybierano gładkie zbocza, na których rozwijało się piekielne szybkości, dziś prowadzi się trasy przez wertepy, wyschnięte łożyska strumieni, zamrażałe wodospady, kręte przecinki, leśne karczowiska.

W wytyczaniu trudnych technicznie tras zaczęli przodować Skandynawowie. Na stokach niewysokich (w porównaniu z Alpami) gór prowadzą niezwykle „urozmaicone i trudne” szlaki zjazdowe. Alpejskie „ściany czarownic” czy „gardziele śmierci” zeszły nieco w cień. Zresztą i alpejczycy przerzucają się ze stoków o nazwach mrozących krew w żyłach na bezpieczniejsze, może mniej szybkie, ale za to trudniejsze technicznie. W Alpach jest w czym wybierać i taka Szwajcaria ma



Z daleka zbocza Ciemniaka od strony Twardego Upiązu wyglądają niewinnie: któż by się domyślił, że

około 400 tras zjazdowych; najdłuższa, Corno-Airoła, liczy 22 km długości przy różnicy wzniesień 1360 m! Największą różnicę poziomów posiada Schilthorn-Lauterbrunnen: start znajduje się na wysokości 2974 m, meta — na 800 m. Są to trasy o zmiennej konfiguracji, pofałdowane, czyli — jak narciarze mówią — „muldziaście”. Trening w takich warunkach daje ogromną wytrzymałość nogom i wyrabia „inteligencję narciarską”, czyli zdolność błyskawicznego przystosowania się do nowego ukształtowania terenu. Trening na gładkich zboczach (np. Kasprowego) działa usypiająco na refleks i uczy „statycznej” jazdy, która w terenie „urozmaiconym” jest mało skuteczna. A taki właśnie statyczny trening jest główną przyczyną niepowodzeń naszych zjazdowców na arenie międzynarodowej.

Polskie Tatry zdobyły sobie miłość artystów, malarzy, fotografików, turystów całego świata. Wprawdzie szczyty Tatr nie mogą zaimponować cyframi wysokości, ale pod względem malowniczości należą one do pierwszych gór w świecie. Groźnie, surowo, ale misternie wyrzeźbione, bogate są w strome ściany i strzeliste wierchy. Takie Alpy czy nawet Himalaje razią niejednego maszywnością i „kopiastością”.

Ale wśród tych turni i skał tatrzańskich niewiele jest miejsca na... narty. Zakopiańczycy jednak wzięli na kiel i po długich poszukiwaniach znaleźli... Ciemniak w Tatrach Zachodnich. Ciemniak ma spełnić „sen” tatrzańskich zjazdowców o „siumnej” trasie. Stamtąd właśnie powrócili dziś Marusarz i Samek-Gąsienica.

-- Start może znajdować się albo na szczycie Ciem-

Notatnik zapaleńca

ROZPRAWA O UŚMIECHU

BOHIATER spod Maratonu, który przyniósł Ateńczykom wieść o wspaniałym zwycięstwie Milcjadesa — zdołał zaledwie wykrztusić kilka słów i padł trupem. Nic dziwnego: łatwo domyślić się, że ogromny wysiłek Greka nie był poprzedzony systematycznymi treningami.

Kiedy w ubiegłym roku łódzki włóknarz Szewczyk kończył na warszawskim stadionie bieg maratoński o mistrzostwo Polski, był promiennie uśmiechnięty, szczęśliwy, rześki, mimo widocznie zwolnionego kroku. Nie był heroldem zwycięstwa nad barbarzyńskimi Persami — był heroldem własnego zwycięstwa, zwycięstwa ludzkiego organizmu nad czasem i przestrzenią, triumfu systematycznego treningu, młodości i radości walki. Żadna gwiazda filmowa nie potrafi się uśmiechnąć tak, jak wówczas Szewczyk. Wreszcie — taśma, koniec biegu. Wydawało by się — powinien owinąć się kocami, odpoczywać, pić, jeść, masować się, odpowiadać znużonym głosem primadonny na pytania dziennikarzy, rozdawać autografy. Nasz Szewczyk takich rzeczy nie robi! Organizatorzy zawieszają mu ciężki wieniec na szyi — chwila triumfu! — i maratończyk, z tym wianuszkiem na karku, robi jeszcze jedno, honorowe okrążenie. Krok jest jeszcze bardziej krótki, ale za to uśmiech, ten promienny uśmiech!... Dla wszystkich stało się jasne: ten człowiek znalazł w sporcie szczęście!

Wydaje mi się, że jest to rzecz o znaczeniu zasadniczym: stosunek uczuciowy do sportu. Radość z możliwości uprawiania go. Uśmiech po zwycięstwie, lzy po klęsce — nie wstydzimy się i też! A największe szczęście — w walce!

Sport musi cieszyć. Zwracano już na to uwagę. Powtarzam tu to raz jeszcze. Sumuję i przypominam. To prawda, że trening bywa nużący. To prawda, że kiedy się „wkuwa” sport naukowo, jak w AWF, może on obrzydzać. Ale, żłutujcie się, przecież i doświadczenia, które przeprowadzał Pasteur, nie miały w sobie nic zabawnego i były nieraz diabelnie jednostajne. Albo wieloletnie poszukiwania Marii Curie-Skłodowskiej! Droga może być nużąca — ale cel jest radosny. Trzeba go tylko widzieć.

Przyjrzyjcie się dobrze naszym lekkoatletom, bokserom, piłkarzom. Rzadko który się uśmiechnie. Mam wrażenie, że nie wynika to z wewnętrznego smutku (oj, nie!), ale z fałszywego nastawienia: wyjaśniono im, że sport to nie zabawa, nie żadne przelewki, sport to, obywateli, hohoho! Bitwa pod Grunwaldem! Stąd niejednokrotnie ponure miny, szczególnie przy tak zwanej „prezentacji”, bo tam dalej, na osobności, to ci młodzi ludzie stają się napowrót młodzi i bawią się jak kociaki.

Ze „zabawa” może też dać wyniki — dowodem nasze płotkarki. Prócz Słowińskiej, są to przecież same sprinterki! Na jednym z obozów popróbowwały biegu przez płotki, polubiły go — i zaczęły padać rekordy! Dziesiąty wynik w biegu 80 m p/płotki roku 1953 lepszy jest od rekordu Polski z r. 1952. A nowy rekord Bocianówny — 11,5 — to już wynik na miarę europejską.

Bohdan Tomaszewski zwracał kilka lat temu uwagę na to, że Piatek ma chyba najbardziej sztywną twarz ze wszystkich tenisistów na świecie i zastanawiał się, czy z takim ponurym stosunkiem do sportu, można odnosić sukcesy. Trafność tego spostrzeżenia jest ponad wszelkie wątpliwości. Oczywiście, w sensie jak najogólniejszym. Bo nie wiem jak jest z Piątkiem — być może, iż jest to człowiek o takim a nie innym temperamencie. Wierzę za to niezachwianie, że nie można odnosić wielkich sukcesów, jeśli się sportu nie kocha. I jeśli są wśród was — do was mówię, zawodnicy! — tacy, którzy nie lubią sportu, którzy traktują swe występy jako odskocznię do kariery, w których start na ringu, bieżni, basenie czy boisku nie budzi radosnego drżenia — błagam, rzućcie to wszystko! Nie męczcie nas i siebie! Niepotrzebni nam są męczennicy sportu, potrzebni są jego miłośnicy. Co rok włącza się w ich szeregi armia rosnącej młodzieży.

Emil Zatopek napisał ostatnio artykuł pt. „Mój trening”. Wszystko tam wypisał, ile odcinków co dzień przebiega po 200 m, ile po 400, które ostro, które wolniej, kiedy wypoczywa, co jada, ile śpi itd. A kończy Zatopek swój artykuł tak: „Cóż powiedzieć na zakończenie? — Na pewno bym tak dobrze nie biegał, gdybym biegu nie kochał. Gdybym nie biegał nie tylko dla własnego szczęścia, ale jeszcze, by sprawić radość tym wszystkim naszym ludziom, którzy są szczęśliwi, gdy widzą, czego ich rodak dokona, gdy tylko naprawdę zechce. Bez tego ostatniego przepisu nic się nie może udać”.

Tak rzekł mistrz. Jak zwykle — w samo sedno.



kryją one „siumną” trasę zjazdową. „Siumną” — to znaczy trudną, biegnącą przez wertepy, kręte przecinki, leśne karczowiska. Trening na takiej trasie dałby naszym narciarzom wytrzymałość i błyskawiczną orientację.

niaka (2068 m), albo niżej na Twardym Uplazie (1750 m) — opowiada Józef Marusz. — Początkowo trasa prowadzi łagodnym, gładkim lejem, w którym rozwija się jednak ogromna szybkość; stok jest tu bezdrzewny, otwarty, typowo alpejski. Dalej biegnie granią między dolinami Kościeliską a Miętusią. Nad Płaczem (nazwa grupy skałek) jedzie się trawersem w prawo, po którym następuje gwałtowny podjazd na przeciwstok.

— Jedziemy w kierunku Hali pod Uplazem — ciągnął Marusz wyobrażając już sobie ten zjazd. — Zaczyna się rzadkie zalesienie i „skandynawski” charakter trasy. Z wielką szybkością wyjeżdżamy z przecinki na Halę usianą gęsto muldami. Zaczyna się taniec. Trasę można poprowadzić przez zmarzniete potoki, wyschnięte koryta strumyków, można ją pokręcić w lesie, którym zarosłe są podnóża Ciemniaka. Zjazd kończy się ostrym padakiem i wychodzi na Kaplicę Zbójnicką w Dolinie Kościeliskiej...

Słuchałem tego opowiadania fascynującego nazwami, wizją dzikiego zbocza i pędzących narciarzy. Słuchałem i kalkulowałem: trasa będzie miała około 900 m różnicy poziomów, około 3200 m długości; meta oddalona jest zaledwie o 20 minut drogi od Kir. dokąd dojeżdża się autobusami. Dwa przenośne wyciągi mogą znakomicie i przy niewielkim nakładzie pieniężnym uzbroić zbocze Ciemniaka... Trzeba tylko wyciąć mniej drzew, niż wycięto na zboczu Nosala, gdzie ostatnio urządzono stok slalomowy.

Znając przychylny stosunek Ministerstwa Lasów do spraw narciarstwa, można wyprorokować: zakopiańscy będą mieli trasę, która stanie się chluba polskiego narciarstwa. Będzie to „siumna” trasa...

Józef Marusz, b. akademicki mistrz świata, także wybrał się na szczyt Ciemniaka, aby zbadać sprawę





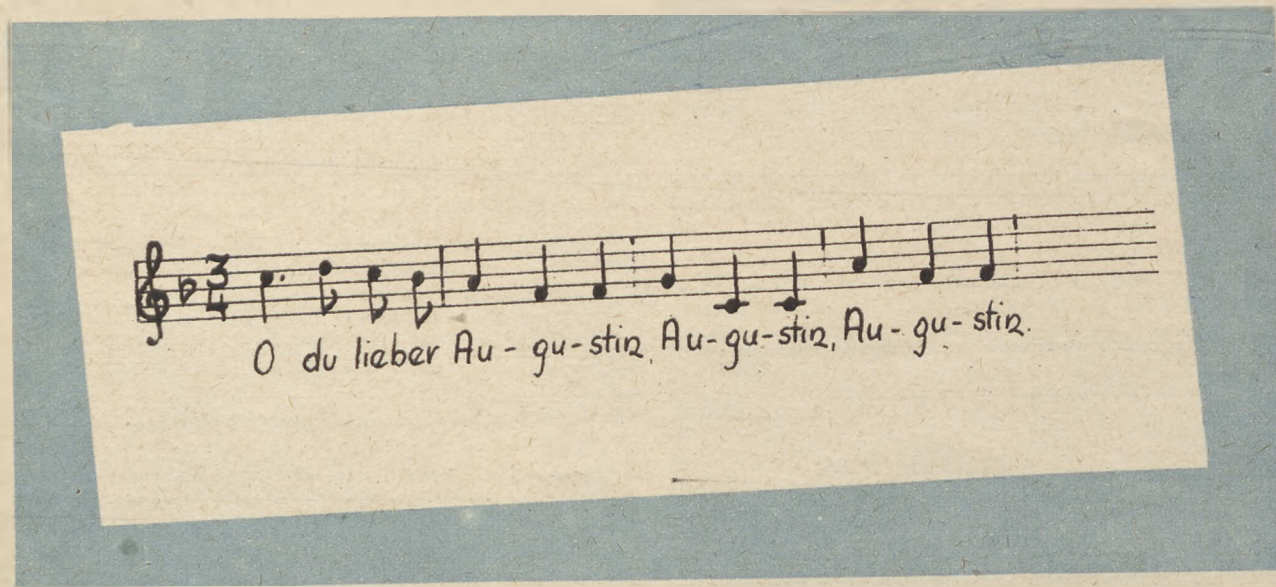
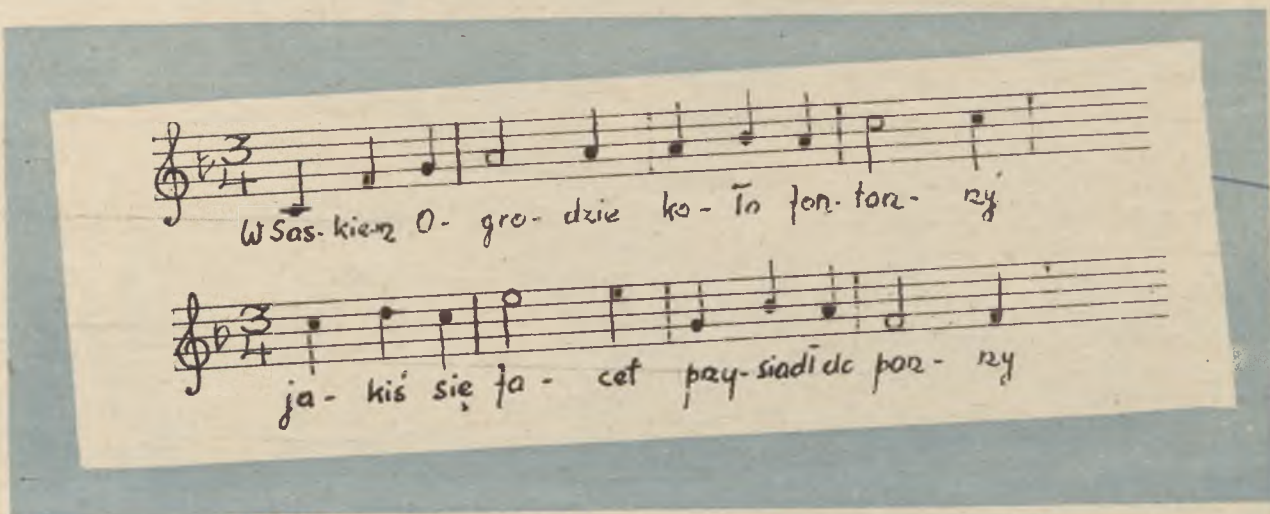
Pomnik „milego Augustyna” w Wiedniu. Była to postać autentyczna, syn biednego szynkarza, urodzony w 1643 r.



JERZY WALDORFF

O WALCU?! Cóż można o nim powiedzieć nowego?... Na pozór nic, a w istocie historia tego tańca jest jednym więcej przykładem, że często o jakimś zjawisku tym mniej wiemy, im jest bliższe i bardziej powszednie. Wiedzę o nim zamykamy w kilku utartych pojęciach, gdy tymczasem...

Kiedy powstał walc? Czytelnik odpowie bez wahania: na początku ubiegłego stulecia, w epoce zwanej „biedermeyerowską”, w Wiedniu, gdzie pierwsze sławne walce komponował Franciszek Schubert. A ja za-replikuję: pierwszych walców nie pisał Schubert, lecz ktoś inny, o wiele — bo o 200 lat — wcześniej. Ale jeszcze nie w tym tkwi rewelacyjność odkrycia. Bardziej zdumiewające będzie skonstatowanie, że bezpretensjonalny, aż naiwny w swojej prostocie pierwszy walc zyskał sobie tak wielką i trwałą popularność, iż do dziś, po 300 latach, znany jest niemal każdemu, na całym świecie. Tyle, że mało kto domyśla się jego dawności i historycznej wagi. Oto początek melodii i tekstu:



„O, du lieber Augustin”, to znaczy po polsku: „O, ty miły Augustynie”. Ten Augustyn był autentyczną postacią z krwi i kości. Urodził się w Wiedniu, w roku 1643, jako syn biednego szynkarza. Kiedy dorósł, jał obchodzić wiedeńskie zajazdy, na dudach przygrywając ludziom do tańca czy do rozmowy przy winie. Sam lubił wino niestety za bardzo, z czego wynikała jego koczowniczość, ale szczęśliwie zakończona przygodą. Pewnego dnia Augustyn upił się do nieprzytomności i zasnął na ulicy. A rzecz się działa czasu zarazy, kiedy pacholkowicie miejsca mieli nakaz wszystkie znalezione po ulicach trupy rażonych pomorem zbierać i grzebać natychmiast we wspólnych dołach. W wyniku łatwej omyłki nasz „zalany w trupa” Augustyn, gdy rano otrzeźwiał, znalazł się w dole, wśród ciał zapowietrzonych. Wzruszony krzykiem, został wyciągnięty, uniknął szczęśliwie infekcji i zbiegał odtąd podwójnie dużo pieniędzy, śpiewając balladę o swej niezwykłej przygodzie. Augustyn nie był uczonym muzykiem, tylko ludowym muzykantem, który nie znał nut, więc nie mógł zapisać wielu skomponowanych przez siebie pieśni i tańców w walcowym rytmie. Dlatego przetrwał po nim tylko ten jeden, doniesiony na ustach ludzkich, najslawniejszy walczyk-piosenka.

Na czym koniec pierwszej i przejdźmy do drugiej rewelacji. Twórcą formy ukształtowanego, dziewiętnastowiecznego walca wiedeńskiego nie był Jan Strauss — ojciec, lecz nieco starszy odcień kompozytor Józef Lanner. On pierwszy podzielił walc na części, kontrastujące ze sobą tematycznie, dał mu wstęp i zakończenie zwane „codą”, a także jał opatrywać swoje walce charakterystycznymi je nazwami, podczas gdy walce dawniejszych kompozytorów oznaczane były jedynie numerami opusów. Ogromnie sławny i podziwiany był ten Lanner, a przecież dziś nie pamięta się jego ładnej muzyki. Nawet w Wiedniu nikt już nie gra walca Józefa Lannera, zatytułowanego „Romantycy”. Tymczasem — i tu jest nowa rewelacja — my Polacy, a zwłaszcza warszawiacy, znamy tego walca dosłownie wszyscy, od niemowląt do starców włącznie!

Trudno i nie bardzo warto dochodzić, jakimi drogami wiedeński walc dotarł poprzez wiek do Warszawy, zmienił tekst i stał się jej popularną, ludową piosenką. Stwierdźmy rzecz istotniejszą: że ten rytm na trzy czwarte i ta melodia musiały być szczególnie miłe ludziom, skoro zapuściły trwałe korzenie tak daleko od

miejsca swego powstania. Ba! W pewnej chwili walc „Romantycy” Lannera nabrał cech politycznej drwiny w naszej ciemnionej wówczas przez carat stolicy. Oto jeden z najbardziej znienawidzonych policmajstrów warszawskich został obity przez niewykrytych sprawców, po czym natychmiast — już nazajutrz — warszawiacy jeszcze raz zmienili słowa walca i śpiewali po wszystkich ulicach, ku wściekłości carskich urzędników: „Na Starym Mieście przy wodotrysku pan policmajster dostał po pysku”.

Choć się niezmiernie szybko upowszechniał, walc — jako nowa forma taneczna — był początkowo gwałtownie tępiący. Nazwa „walc” pochodzi od niemieckiego czasownika „sich waelzen”, co po polsku znaczy: toczyć się, obracać, gdyż w historii tańca walc był pierwszym tańcem wirowym. I może ten fakt, że młodzieniec brał pannę wpół, a potem się z nią kręcił w kółko, wpłynął na zgorzienie pierwszych obserwatorów tańca. Jak było tak było, dość że na przełomie XVIII i XIX wieku pewien sławny teolog obwieścił niezmiernie wzburzony: „Walc tworzy koło, w którego środku tkwi diabeł!” Mniej więcej w tym samym czasie pewna niemiecka rada miejska wydała edykt: „Kto podczas tańca będzie się obracał w kółko, ma być pojmany i ukarany grzywną dwudziestu groszy”.

Czy tylko świętoszki starały się zniszczyć walca? Na pewno daleki od pruderii był wielki romantyczny poeta angielski, lord Byron, który napisał taką apoteozę do muzyki tańca, Terpsychory:

„Już ciebie nazbyt długo, Terpsychoro,
Ludzie naiwni za dziewicę biorą!
Że ci od dawna dziewictwo obrzydło
Niech każdy wie, bo wyszło z worka sztyldo
Odkąd — choć nieślubna to dziecina —
Uznała walca za swojego syna”.

Wcześniej, bardziej rozważny Goethe stwierdził jednak, że szanującej się kobiecie uchodzi tańczyć walca tylko z narzeczonym lub z mężem! Najslawniejsza mianowicie z powieściowych postaci Goethego — młody Werter — tak pisze do przyjaciela, po przetańczeniu walca z piękną Lottą: „Przysięgam sobie, że dziewczyna, którą bym kochał, co do której miałbym zamiary, nie śmiała nigdy tańczyć z nikim innym, tylko ze mną...”.



LA WALSE.

Walc z lat 1800-ych. Nawet rozważny poeta Goethe twierdził zupełnie poważnie, że szanującej się kobiecie uchodzi tańczyć walca tylko z narzeczonym lub mężem...

Osobną grupę zaciekle wrogów walca tworzyła arystokracja. Ta miała powody, żeby nienawidzić nowego tańca! Po pierwsze, a złe: walc pochodził wprost od ludowego tańca alpejskich górali, zwanego „laendle-rem“. Po drugie, a jeszcze gorsze: zupełnie odrębna forma walca miała w sobie prostotę i wdzięk pociągające wszystkich — od bywalców salonów do mieszkających suterren. Po trzecie, a najgorsze: walc był łatwy i mógł być tańczony bez większych przygotowań przez każdego.

Wykwintne gawoty czy menuety, wykonywane przez wiele par tancerzy, były całymi baletkami, tyle że przeznaczonymi nie dla scen, lecz dla salonów. Alłści tancerz do występu w salonie musiał przygotowywać się niemal tak starannie, jak zawodowy tancerz do występu na scenie. Trudna edukacja taneczna była częścią edukacji ogólnej każdego człowieka „dobrze urodzonego“ i obdarzonego fortuną, a konieczność opanowania kunsztownych piasów stanowiła dodatkową zapórę chroniącą salony przed wtargnięciem intruzów z „plebsu“. Tymczasem łatwy walc jął szerzyć się po Europie jak zaraza, wypierając gawoty i menuety, a więc niwecząc ekskluzywną wyższość taneczną salonów!

Walc był pierwszym tańcem demokratycznym. Jest rzeczą nie bez znaczenia, że gdy w roku 1789 wybuchła Wielka Rewolucja Francuska, to już w następnym roku walc stał się najmodniejszym tańcem zwycięskiej ludności Paryża. Później i to będzie charakterystyczne, gdy w roku 1848 Wiosna Ludów, zjeżyła Wiedeń barykadami, Jan Strauss — syn grał na tych barykadach swoje walce, gdyż takiej przygrywki chcieli ówczesni wiedeńscy rewolucjoniści.

Więc — huzia na walca! Więc najpierw caryca Katarzyna wydała zakaz tańczenia walca na swym dworze. Za nią poszedł godny partner: dwór pruski. A jako że tępotą rządzących w Niemczech Hohenzollernów

była nieporównana, więc bzdurny zakaz przetrwał na dworze w Berlinie aż do Wilhelma II, czyli ponad 100 lat!

Daremnie, daremnie!... — Ofensywa walca, podjęta z Wiednia, szła coraz szerzej, aż walc siadł na tanecznym tronie całej Europy, skąd do dziś nam miłościwie panuje. To jedyna koronowana, nie tyle głowa, ile — noga, którą chętnie uznajemy.

W miarę lat i zadowolenia się walca w wielu krajach, taniec — pod wpływem odmiennych gustów i temperamentu różnych ludów — przybrał rozmaity charakter. Na przykład walc francuski i rosyjski, to dwa światy, tak mało podobne, jak Alpy do bezkresnych, nadwołżańskich równin! Zróznicowała się nawet instrumentacja. O ile dla żwawego francuskiego walca charakterystyczne są akordeony, o tyle melancholijny rosyjski walc ma najbardziej klasyczne brzmienie wówczas, gdy wykonywany jest przez orkiestrę dętą.

W pierwszym dziesięciu lat naszego wieku międzynarodową popularność zdobył sobie walc angielski, a to ze względu na modę kobiecą. Strój ówczesnej elegantki był czymś pośrednim między rusztowaniem i gospodarstwem rolnym. Pomijam nieprawdopodobną ilość i długość bielizny, gdyż jedynie ważny pod suknią był — gorset. Składał się z mocnego płótna, uzbrojonego w długie druty lub fiszbiny, zaopatrzonego od przodu rzędem tęgich haftek, a od tyłu długim i silnym sznurkiem. By elegantka mogła prezentować się szczupłą jak osa, wszyscy członkowie rodziny zasznurowywali na niej wspólnie ten gorset, po czym wkładana była suknia z trenem i — na głowę — kapelusz wielkości młyńskiego koła. Gwoli ozdoby na kapeluszu umocowane były kępy krzaków lub warzyw, lub coś z drobiu, np. jakieś wypchane mowy.

Zrozumiałe jest, że tak obudowana kobieta nie mogła szybko tańczyć walca, bo rozpadłaby się z hukiem! Dlatego w modę wszedł powolny walc angielski, zwany także walcem-bostonem. W nastroju walc

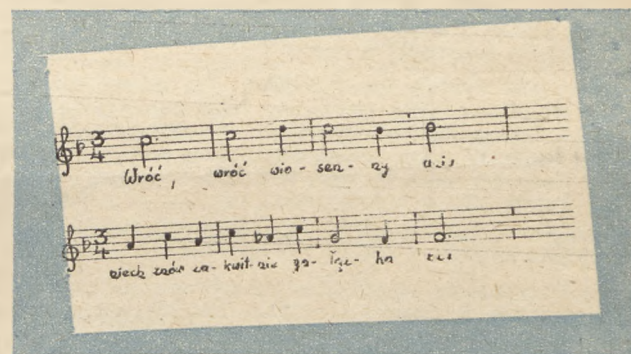


Walc z lat 1830-ych. W owym czasie taniec ten atakowany był przez świętoszków. „Walc tworzy koło, w którego środku tkwi diabeł“ — pisał pewien uczony teolog...

ten odpowiadał majestatycznej, dostojnej uczuciowości elegantek tamtych czasów.

Dzisiaj tańczymy walca i szybko i powoli, jak komu przyjemniej, byle walców było sporo, bo je wszyscy lubimy. A że zacząłem od rewelacji, więc i zakończę taneczną rewelacją. Dla symetrii.

Ojczyzną walca jest Wiedeń, nie dziwne przeto, że dużo pięknych walców skomponowano o samym Wiedniu. Ale kto jest autorem najpiękniejszego walca o tym mieście?... Wiedeńczyk? — Nie. W każdym razie Austriak? — Nie! No to co najmniej jakiś Niemiec? — Też nie! Najpiękniejszy walc o Wiedniu został skomponowany przez... Polaka, Rudolfa Siczynskiego.



Tak, tak! Właśnie ten arcywiedeński, przesłiczny, przesławny walc: „Wiedeń, miasto moich marzeń“

Jesteśmy w pełni karnawału. Skoro przeczytasz powyższe, Czytelniczko lub Czytelniku, to niechże wiedza o walcu obciąży cię stosowną zadumą. Byle, na miły Bóg, nie obciążała twoich kroków podczas tańca! Bo tak dawniej, jak i dziś — walca należy tańczyć lekko i z wdziękiem.

Monarchowie zabraniali tańczyć walca, gdyż był on pierwszym tańcem demokratycznym. Reprodukowany obraz przedstawia zabawę ludową w Wiedniu w r. 1850



Walczyk na zabawie ludowej w Warszawie w roku 1950. Po wielu latach walc zadowolił się, przybierając przy tym w każdym kraju odmienny charakter



opowiadanie

O PODMOKŁYCH ŁAKACH

Ilustrował: BARO

PRZYJDZIE czy nie przyjdzie? — Gaworek podszedł do otwartego okna i wychylił się. W tej samej chwili Bratek wszedł. Za nim wsunęła się kobieta, przygarbiona i wysoka. Razem podeszli do stołu.

— Tu macie ten papier — powiedziała kobieta i położyła papier przed Smolikiem — A tu się podpisał. — Wskazała palcem trzy nierówne krzyże pod kilkoma linijkami dziecinnej pisma.

Bratek kiwnął głową na znak, że to prawda, odwrócił się i odszedł. Był trzeźwy, to zdążyli obaj zauważyć. Zona jego pozostała przy stole przyciskając palcem papier. Odwróciła głowę. Wszyscy troje patrzyli w milczeniu za odchodzącym. Szurając nogami szedł powoli ku drzwiom przez całą długość świetlicy. Kładąc rękę na klamce, obejrzał się. Może chciał się przekonać, czy zona idzie za nim, a może chciał zobaczyć, co robia i diaczego jest tak cicho. Ale nie powiedział ani słowa. Otworzył drzwi. Oślepiły ich promienie przedwieczornego słońca nadlatujące ponad polami ciągnącymi się aż po kraniec łysego widnokręgu. Grzbiety książek w oszklonej szafie błysnęły rozmaitymi kolorami.

Bratek minął próg, zamknął za sobą drzwi i książki zgasty.

— Przyszedł, widziałeś? — Gaworek pokręcił głową z niedowierzaniem. — Cuda się dzieją.

— Nie takie cuda tu widzieliśmy — powiedział Smolik. To była prawda. Bywały zdarzenia o wiele dziwniejsze. Ale to było może najbardziej kłopotliwe. Podszedł do stołu i wziął papier do ręki. Kobieta spojrzała na Gaworka.

— Czy też wy go aby na pewno przyjmiecie?

Smolik przytaknął. W ciągu ostatnich dni nachodziła go w domu, w polu i w świetlicy — i pytała go o to. Półgłosem przeczytał podanie.

„Ja, Jan Bratek, syn Stanisława, urodzony dziesiątego maja roku 1908, upraszam, żeby mnie przyjęto na członka do spółdzielni produkcyjnej w Kociszowie. Ziemi nijakiej nie mam, ale obowiązuję się do pracy w polu i do innej, jaka by była potrzebna“. Potem szły te trzy krzyże. To było wszystko.

Włożył papier do papierowej teczki, w której trzymał protokoły.

— Przyjmijmy, chyba żeby się zebranie nie zgodziło. Bo widzicie, Bratkowa, nikt tu u nas nie wierzy bardzo, żeby robił.

Kobieta nie poruszyła się i nie odpowiedziała. Spojrzał na nią i zobaczył, że płacze. Nie odwracała głowy, usta jej nie dygotały, ale łzy płynęły po policzkach i Smolik, chociaż ciągle ją widywał płaczącą, pożałował tego, co powiedział.

— Nie płacz Hanka, nie płacz. Jakoś się musi ułożyć. — Gaworek zakręcił się koło stołu, podszedł do niej i stanął naprzeciw — Sama rozumiesz, że łatwo nam nie pójdzie. Z fabryki go wygnali, z cukrowni wygnali, pojechał robić do huty — wygnali i jeszcze dwa tygodnie odsiedział za awantury. Pijak jest... ciebie bije, dzieciaki bije. A wiesz, to wiesz — ludzie wszystko widzą i wszystko wiedzą.

Smolik myślał, że kobieta zacznie teraz płakać na głos, ale potrzęsła tylko głową i odeszła od stołu. Usiadła pod ścianą ocierając oczy wypłowiałym niebieskim fartuchem.

Do świetlicy weszli Kozubowa i Franek Bielak. Franek z daleka kiwnął głową Bratkowej i podszedł do przewodniczącego. Kozubowa uśmiechnęła się do niej, bo znały się od dziecka. Były z tego samego rocznika.

— Co będzie na tym zebraniu?

— Nowego członka mamy przyjmować. — Smolik zawałał się.

— A to, to wiemy przecież. — Kozubowa sięgnęła do fartucha i wyjęła garść słonecznikowych pestek. Podała je Bratkowej, która wzięła pestki i zaczęła jeść obcierając od czasu do czasu łzy rękawem.

— Prędko zaczynamy? — Franek nie lubił zebrań. Twierdził, że najlepiej o sprawach ważnych gadać spokojnie w parę osób. Był bardzo przystojny i dziewczyny oglądały się za nim, dlatego nie miał wiele zrozumienia dla głosu kobiet w sprawach spółdzielni. Ale przed rokiem powrócił z wojska i rozumiał, że nie powinien sprzeciwiać się Smolikowi, który tłumaczył mu, że kobiety trzeba wychować, żeby rządziły spółdzielnią tak samo jak mężczyźni. Przewodniczący rozmawiał z nim często i długo, bo czuł, że dużo jeszcze trzeba roboty, zanim w chłopaku ugruntuje się to wszystko, czego nie zdążyło ugruntuować wojsko.

— Zaczniemy zaraz, jak się ludzie zejdą.

— Z pola już jadą... — Franek zawrócił ku drzwiom

i wyrzwał. Weszły dziewczyny, wszystkie boso, bo dzień był gorący. Usiadły na ławce i zaczęły cicho gadać ze sobą. Potem, po jednym, przyszli ludzie ze stajni. Wreszcie nadjechał z pola oblepiony chłopakami traktor. Przez cały ten czas Smolik chodził po pokoju zagadywany przez dziewczyny i myślał, co im wszystkim powie. Kiedy ludzie z traktora usiedli, rozglądali się.

— Wszyscy już?

— Wszyscy, wszyscy!

Policzył szybko głowy, omijając dzieci siedzące na podłodze przy drzwiach i Bratkową, samotną na ławce pod oknem, bo Kozubowa przeniosła się do swoich z obór. Byli wszyscy.

Stanął za stołem, wyjął z teczki papier i jeszcze raz spojrzał po twarzach. Dziewczyny przestały szeptać, poprawiły chustki i zaczęły przyglądać się spódnice.

— Wpłynęło tu do nas jedno podanie... — powiedział przewodniczący i odczytał papier. Słuchali uważnie, chociaż od wczoraj wiedzieli, że Bratek ma się zgłosić. Smolik skończył czytać i usiadł.

— Kto by chciał coś powiedzieć o tym?

Znowu zrobiło się cicho. Potem zaczęli się oglądać jedni na drugich. Traktorzysta podniósł rękę.

— Ja się chciałem zapytać, gdzie on jest, ten Bratek? Czemu on nie przyszedł?



Przewodniczący rozłożył ręce i oczyma wskazał kobietę.

— Nie przyszedł — powiedział. — Zona jest tutaj.

— Żonę to my znamy... — Kozubowa wstała i spojrzała na Bratkową. — Porządna z niej kobieta i pewnie nieszczęśliwa, jak żadna inna we wsi. Ja, to my byśmy zaraz wzięli — urwała. Potem obróciła się ku Smolikowi. — Nie będziemy przecież obwijać, bośmy są tu sami swoi. Bratek jest pijus, nierób i nic dobrego. Z roboty go wszędzie poprzeganił i nie ma teraz co do gęby włożyć, to się do nas zgłasza, bo myśli, że my każdego weźmiemy, bo nam zależy, żeby ludzie do spółdzielni szli. Ale ja się pytam, czy wyjdzie co z tego? Mnie się tam zdaje, że nic. Tej tu kobiety mi tylko szkoda, bo przecież pięcioro dzieci mają. Ale co my na to poradzimy? Spółdzielnia jest po to, żeby robić... — Chciała powiedzieć jeszcze, ale spojrzała na Bratkową i usiadła. Smolik kiwnął głową. Między ludźmi zaczęły latać słowa. Głowy poruszyły się.

— Kto jeszcze chce coś powiedzieć?

— Tu jest taka rzecz... — Kędziora był najstarszy z nich wszystkich i miał posłuch. Dziewczyny przestały szeptać. — Tu jest taka rzecz, że przecież my, znaczy się, spółdzielnia nasza, jesteśmy u każdego na oczach. Jednemu się podoba, drugiemu nie, ale wszyscy patrzą. Jak na spółdzielni dobrze, to dobrze, ale jak na spółdzielni źle, to wróg chce zaraz wykorzystać. Zeszłego roku, jak ziemniaki nam wymarzyły, gruchnęło od razu po całym powiecie, że spółdzielnia nic nie warto. Są tacy, co się raz-dwa postarają, żeby się wszyscy dowiedzieli... — Otarł wasy grzbietem dłoni i zastanawiał się przez chwilę. — Ja to tą sprawę Bratka widzę tak samo, jak Maryśka Kozubowa. My Bratkową znamy i żałujemy, ale spółdzielnia najważniejsza. Wstydu

sobie nie można robić. Powiedzą, że się do nas cała szumowina ze wsi zlatuje. Dlatego pożytku nie widzę... — Usiadł.

Smolik spojrzał na Gaworka, który go zawsze wspomagał w takich chwilach, ale Gaworek nieznacznie rozłożył ręce. — Przegrałem — pomyślał przewodniczący. Czasem trzeba było przegrywać. Był zły, ale jednocześnie czuł wielką radość. Jeszcze rok temu przyjęliby tego Bratka, bo nie zależało im. Teraz spółdzielnia zrobiła się dla nich najważniejsza. Ale nie rozumieli, że spółdzielnia to początek sprawy, a nie koniec. Spojrzał na Bratkową. Nie płakała już. Siedziała z opuszczoną głową. Ręce, zaplecione jak do modlitwy, opadły bezwładnie na kolana.

— Dobrze gada Kędziora! — powiedział ktoś głośno. — Nie trzeba takiego przyjmować. Niech najpierw pokaże, że się zmienił, to przyjmijmy.

Smolik wstał.

— Kto jeszcze? Bo jak nikt, to ja coś powiem.

— Myśmy już swoje powiedzieli. — Franek zgasił papierosa o cholewę. — Nikt mu źle nie życzy, ale spółdzielnia to nie przytułek. Przykład musimy dawać.

— Jeszcze ktoś?

— Gadać — powiedział Gaworek.

Smolik nabrał powietrza w piersi. Spojrzał na papier. Za oknem było już mroczno i pisma nie mógł odczytać, ale widział wyraźnie trzy krzyże podpisu.

— Jest tak, jak mówicie i nie jest tak, jak mówicie... — zaczął. Pod ścianami zaszumiało i ucichło. Kątem oka zauważył, że Bratkowa uniosła ręce i przytuliła dłoń do policzków. — Sama robota to jeszcze nie wszystko, chociaż na robocie wszystko stoi. Ojcowie też ciężko pracowali i żyli marnie. I myśmy też ciężko pracowali od dziecka i też marnie było życie. Teraz pewnie nawet mniej pracujemy niż dawniej, a życie jest lepsze. — Znowu urwał. Po co im to mówić? Przecież wiedzieli o tym. Na niejednej akademii mówili o zmianach i przyczynach zmian. Ale musiał to powiedzieć, bo wszystko było razem powiązane i chciał się upewnić, że to, co mówi, jest słuszne. — My tu mamy podanie tego Bratka. Mówicie, że on jest pijak, że żonę bije, że do roboty ostatni i ja się z tym muszę zgodzić, bo to prawda. Prawda jest też, że w gminie są tacy, co się będą z nas śmieli, że śmiecie do domu zwozimy. Mówimy, że nie wolno nam się na ich śmiech narazić. A ja myślę, że nie mamy racji, kiedy tak mówimy. Kiedyś zaczęli osuszać łąki, też się z nas namówiali i mówili, że takich inżynierów jak my prędzej szlag trafi, niż kropla wody z gruntu odejdzie. A teraz każdy może otworzyć drzwi od tej świetlicy i zobaczyć, że na łąkach wody nie ma, a za to pszenica rośnie. Mówicie, że Bratek przyszedł do nas, bo nie ma co do gęby włożyć. Wszyszcymy po trochu przyszli do tej spółdzielni, bo nie było co do gęby włożyć na przednówku. Zresztą, Bratek nie jest sam, ma żonę, kobietę, pracownicę. Trzeba spróbować i nie oglądać się na to, co człowiek robił dawniej. Uda się — dobrze. Nie uda się — to zawsze możemy mu powiedzieć: do widzenia. A spróbować trzeba, bo spółdzielnia jest na to, żeby zmieniała życie nie tylko nasze, ale i całej wsi. Ja to wszystko mówię dlatego, żebyśmy nie głosowali od razu, tak albo inaczej, ale żeby każdy się zastanowił i pomyślał nie o tym, że Bratek będzie robił dużo albo mało, ale o tym, czy da się go zmienić i czy warto spróbować. Jeżeli się wam wydaje, że na pewno nie da się go zmienić i trzeba tę żonę i dzieci zostawić, jak to mówią, na los szczęścia, wtedy głosujmy, żeby go nie przyjmować. — Skończył i rozejrzał się. Czekał chwilę. Nikt się nie odezwał. Czekał dalej. Teraz musiał ruszyć, albo w tę, albo w tamtą stronę.

— Najstarsza dziewczyna u nich ma już pewnie czterysta rok... — powiedziała półgłosem Kozubowa nie wstając. — Mogłaby się może młodszymi zająć, a matka by w pole poszła, to by więcej zarobiła z mężem. Albo by się dało Bratkowej robotę w oborach, żeby bliżej miała. Bydła przybywa, a my we trzy z Jadźką i z Helą ledwie już sobie radę dajemy...

Potem jeszcze ktoś powiedział, że niby można spróbować. Spółdzielnia wytrzyma, nawet jak się omylą. I dziesięciu takich Bratków wytrzyma.

Kiedy przyszło do głosowania, zgodzili się wszyscy, bez wielkiego przekonania, ale i bez wielkiej niechęci. Rzeczywiście spółdzielnia mogła wytrzymać i karmić nawet za darmo niejednego takiego Bratka nawet przez rok. Ale za darmo nie chcieli dawać nic i Smolik wiedział, że będą patrzyli na nowoprzyjętego uważnie i przy następnym zebraniu dowie się wszystkiego o jego robocie, nawet jeżeli sam nie zauważy dokładnie przedtem, czy jest dobrze, czy źle. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Mrugnął na Kozubową i na Gaworka.

— Trzeba będzie, Maryśka, żebyś poszła do nich i pogadała z nią o pierwszej wypłacie. Niech bierze pieniądze, bo inaczej on przepije. Musi się chłop odzwyczaić, a ona się go boi. Ja z nim pogadam, ale ty też musisz tam swoje trzy grosze wtrącić. Damy ją do was do obór i tam ją przerabiacie na nasze kopyto.

— Ma się rozumieć — Kozubowa roześmiała się — Już ty mnie nie ucz. Głosowałam, żeby ich przyjąć, to już się nie cofnę.

Z Gaworkiem obgadał sprawę przydziału Bratka do roboty w czasie nadchodzących zniw. Postanowili, że przydzieli go Frankowi, bo Franek nie pił i umiał powiedzieć do słuchu każdemu, kto się ociągał z robotą. Kiedy został sam, zapalił światło, wpisał do protokołu jedyną uchwałę o przyjęciu Jana Bratka do spółdzielni, wsunął teczkę pod pachę i przekręciwszy

kontakt wyszedł zamykając drzwi starym, wielkim kluczem, pamiętającym owe odległe dni, kiedy świetlica ta była pawilonem myśliwskim ozdobionym u wejścia kamiennymi herbami rodu Lubomirskich.

Schowal klucza do kieszeni z dziwnym uczuciem, które czasem nawiedzało go w ciężkich chwilach życia. Zdziwiło go, skąd bierze się ta troska i gdzie jest jej źródło. — Nie trzeba się przejmować o niego — pomyślał. — Jeden Bratek mniej czy jeden więcej, to nie jest najważniejsze. — Ale wiedział, że ma miękkie serce i chociaż czasami niepokoiły go różne własne myśli, nie umiał sobie z nimi poradzić. Najważniejsze były dzieci tego łobuza. Pięcioro małych dzieci, które zrobił tej zahukanej żonie po pijanemu, a ona na pewno nie umiała się oprzeć mu, chociaż nędza była większa, im więcej ich przybywało. W spóldzielni będzie można zająć się tymi dziećmi. Teraz, kiedy przyjęli Bratka,



to był już ich obowiązek. Ale co będzie, jeżeli Bratek przestanie robić, albo nie zacznie robić, albo będzie się upijać i trzeba go będzie wyrzucić? Co będzie z tymi małymi ludźmi, którzy nie byli niczemu winni i za wszystko musieli odpowiadać własnym zdrowiem i własną skórą?

Była już noc, jasna i ciepła. Czerwony księżyc wisiał w powietrzu nad dachami stajen.

W przyćmionym świetle twarz mężczyzny, stojącego pod drzewem, wydała się przewodniczącemu młodsza i łagodniejsza. Zatrzymał się i czekał, aż tamten pojdzie do niego powolnym, człapiącym krokiem.

— To... to niby kiedy do tej roboty? — Bratek miał głos niski i niewyraźny.

— A chociażby jutro z samego rana. — Smolik starał się, żeby zabrzmiało to zupełnie spokojnie i tak, jakby samo przez się było zrozumiałe dla nich obu.

— To ja jutro przyjdę.

* Bratek odwrócił się i odszedł ku drodze. Z cienia wynurzyła się wysoka, przygarbiona kobieta i poszła za nim.

Smolik z wolna poszedł ku stajniom. W połowie drogi przystanął i obejrzał się. Kobieta i mężczyzna zniknęli już za zakrętem polnej ścieżki prowadzącej pomiędzy drzewami ku wsi.

Ruszył ku domowi, gdzie czekała żona z kolacją. Dzieci spały już chyba. Haneczka chorowała ostatnio. Doktor w mieście powiedział, że trzeba ją wywieźć w góry. A no, jeżeli trzeba, to trzeba. Ale smutno mu było obstawiać się z najsłabszym dzieckiem i oddawać ją obcym.

Hanka była najstarsza, urodziła się przed samą wojną. Potem, kiedy on był w lesie, a żona pracowała tu — u Lubomirskich, dziecko zaczęło chorować. Głód ją wtedy tak pochylił. Teraz pilnowali oboje, żeby jadła, ale nie pomagało.

Przystanął i zebrał siły, żeby wejść z uśmiechem do domu. Przed nim światło księżyca leżało szeroko na polach, które niegdyś były podmokłymi łąkami. Jeszcze przed dwoma laty niósł się ponad nimi nieustanny, senny rechot żab.

Przewodniczący mimo woli nadstawił uszu, ale dobiegł go tylko cichy szum. To falowała pod ciepłym skrzydłem nocnego wiatru dojrzewająca pszenica.

K O N I E C

(Opowiadanie wyjęte z tomu pt. „Opowiadania o dalekich drogach”, który ukazuje się nakładem Państwowego Wydawnictwa Literackiego).

SWIAT

o tym wie!

ZWYKŁA SPRAWA

Emigrancki „Narodowiec” z dn. 10 listopada 1953 r. ogłasza list uchodźcy polskiego, który w roku 1946 pod wpływem andersowskiej propagandy przedostał się do Niemiec zachodnich i tak oto dziś lamentuje:

„Po wielu trudach i niebezpieczeństwach, idąc przeważnie pieszo, udało mi się wreszcie przekroczyć granicę Niemiec zachodnich. Policja niemiecka oddała mnie w ręce amerykańskiej M. P., która po 3 dniach badań odesłała mnie do Hof, gdzie zo tałem skazany przez amerykański sąd wojskowy na 60 dni więzienia za nielegalne przekroczenie granicy. Odebrano mi wszystkie posiadane rzeczy oraz pieniądze, 312 marek niemieckich.

Pracowałem od świtu do nocy w lesie pod dozorem policji niemieckiej. Z więzienia wypuszczony zostałem 28. 5. 1946 r. Oddano mi wszystkie moje rzeczy, ale z pieniędzy otrzymałem tylko 5 marek oraz kwitki na 500 gr. chleba. Resztę pieniędzy zatrzymano za żywność, a za robotę w lesie nic nie dostałem, gdyż to, jak mi powiedzieli, miało być kara za nielegalne przekroczenie granicy.

Po wielu trudnościach dostałem się do obozu UNRRA, gdzie przejść musiałem ewidencję i badania.

Po zwolnieniu z obozu zabrano nam dosłownie wszystko. Ja miałem przepustkę z fotografią na

wyjście z obozu, to i tę przepustkę mi odebrali i odesłali nas do obozu przejściowego w Stuttgarcie...

Zostałem znów na drodze bez żadnych papierów i musiałem się kryć przed policją niemiecką, aby nie dostać się znowu do więzienia. Przy pomocy I.R.O. udało się przyjechać do Paryża. Nie znałem tu nikogo, nie znałem języka francuskiego, nie wiedziałem, do kogo zwrócić się o pomoc i musiałem się tak kierować, aby mnie z kolei francuska policja nie aresztowała.

Uplłynęło sporo czasu zanim otrzymałem prawo pobytu i francuskie papiery. Niejeden dzień byłem bez kawałka chleba, bo bez papierów nikt do pracy przyjąć nie chciał. Dopiero po otrzymaniu papierów dostałem pracę i mogłbym być już spokojnie. Niestety, spotkało mnie nowe nieszczęście, bo zachorowałem na skutek wycieńczenia i wólczenia się po obozach...

Takich jak ja uchodźców lub takich, co po wojnie nie wrócili do Polski, są dziś jeszcze tysiące we Francji, w Niemczech, w Austrii i w innych krajach obu kontynentów. Nikt się nami nie zaopiekuje i nikt nie nadeśle chociażby książki polskiej.

A. Rudnik
Clairvivre (Dordogne)
Franja

GROŹNY FRESK I PIĘKNA RZEŻBA



O sprawie tej pisaliśmy już przed kilku miesiącami. Chodzi o los wspaniałych malowideł ściennych, zdobiących gmach poczty głównej w San Francisco.

Reakcjoniści spod znaku senatora McCarthy rozpętali wokół tych fresków dziką hecę. „Za dużo czerwonego koloru” — brzmiał (dosłownie!) główny zarzut. Rzecz w tym, że autor fresków, który miał przedstawić sceny z historii Stanów Zjednoczonych, pokazał również ciemne karty dziejów swego kraju. Widać więc na freskach pogrom Chińczyków w Kalifornii, niehumanitarne traktowanie czarnych niewolników, lincze, strajki i masakry robotników. Ale największe oburzenie krytyków wywołał fragment fresku, obrazujący drugą wojnę światową: lufa armatnia wycelowana w hitlerowską swastykę. Tego już było za dużo zwolennikom senatora McCarthy. Uchwala Kongresu USA nr 211 głosi więc:

„Fresk z urzędu pocztowego w San Francisco usunąć natychmiast”.

Mamy nawet propozycję, czym w zamian ozdobić hall tego gmachu. Oto przed kilku tygodniami odbył się w San Francisco festiwal sztuki amerykańskiej. M. in. wystawiono tam rzeźbę niejakiego Beniamino Bufano pt. „Pokój”. Nie, nie lękajcie się tego słowa. Mr Bufano tak bowiem charakteryzuje swe dzieło w katalogu wystawy:

„Rzeźbie „Pokój” nadałem kształt pocisku, aby wyraził myśl, że pokój w zniszczonych czasach musi być wymuszony siłą... Współczesna strategia wojenna, wymagająca bombardowania dzieci, nie może mieć odpowiednika w pokoju, którego symbolem byłoby przestarzałe motywy gałązki oliwnej lub gołąbka”.

Rzeźba jest więc niewątpliwie utrzymana w duchu wszystkich oświadczeń amerykańskiej polityki zagranicznej i mogłaby z powodzeniem zdobić nie tylko urząd pocztowy w San Francisco, ale nawet gmach Departamentu Stanu w Waszyngtonie.

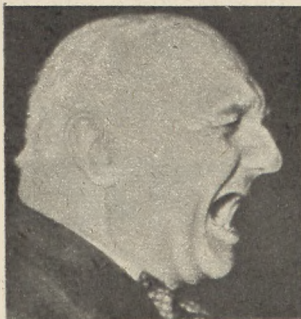
TO IM NIE W SMAK

Filmy o faszystach? Bardzo proszę, ale tylko sławiące faszyzm. Reżyser włoski Zampa popełnił ten błąd, że nakręcił dwa filmy, atakujące faszyzm. Pierwszy z nich pt. „Trudne lata” mówi o czasach, kiedy jeszcze rządził we Włoszech „Il Duce”. Drugi — pt. „Łatwe lata” — przedstawia ciężkie życie szarego człowieka w kleszczach chadeckiej „demokracji” i neofaszyzmu. Oba filmy nie spodobały się reakcji włoskiej. Drugi — wywołał prawdziwą furję wściekłości.

„Protestujemy wobec całego świata przeciwko temu haniebnemu paszkwilowi” — ryczał na posiedzeniu parlamentu włoskiego deputowany Gray, były członek Rady Faszystowskiej.

Szczególnie nie spodobały się signora Gray te sceny z filmu, gdzie pokazani są „starzy bojownicy” faszyzmu.

Władze włoskie, podziękując opinię faszystów, postanowiły zakazać filmu. Protesty opinii publicznej wymogły zniesienie zakazu, ale film został oceniony i wycięto zeń szereg fragmentów. Zwróconych przeciwko faszyzmowi.



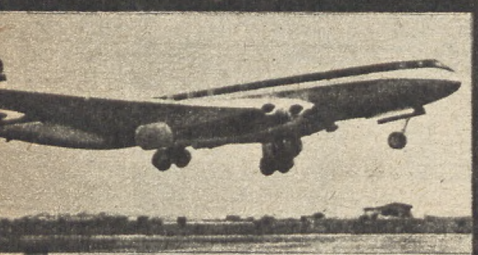
„Protestuję!” wrzeszczał deputowany Gray, b. członek Rady Faszystowskiej.



„Starzy bojownicy” faszyzmu w filmie „Łatwe lata”. Można rozpoznać w tej scenie marszałka Grazianiego (w środku), który w filmie nosi miano „Kondotiera”.



Scena ośmieszająca „spotkanie starych bojowników”, które odbyło się rok temu u marszałka Grazianiego. Zebrani śpiewają faszystowski hymn „Eja, eja!... alala...”



Poteźny 4-motorowy samolot komunikacyjny rozpadł się w kawałki nad rzymskim lotniskiem w Ciampino na chwilę przed lądowaniem

O GODZINIE 11.45, w czwartek, 14 stycznia roku 1954, czteromotorowy samolot DC 6 należący do „Philippines Air Lines” rozpadł się w powietrzu na chwilę przed lądowaniem na rzymskim lotnisku w Ciampino. 9 członków załogi i 7 pasażerów poniosło śmierć na miejscu.

Cztery dni przedtem, odrzutowiec „Comet”, należący do „British Overseas Air Company” wkrótce po wystartowaniu z Rzymu do Londynu rozleciał się w kawałki i z wysokości 8 tysięcy metrów spadł do morza koło wyspy Elby. 29 pasażerów i 6 członków załogi zginęło.

Obie te katastrofy nie wywołałyby zapewne dłuższych komentarzy, gdyby... gdyby nie drobny fakt, że nastąpiły dokładnie w 6 godzin po wystartowaniu samolotów z lotniska w Bejrucie. W ciągu tych 6 godzin czteromotorowy DC 6 przebył trasę do Rzymu i zniżał się właśnie do lądowania, odrzutowiec „Comet” zaś posiadający bez porównania większą szybkość — zdążył w tym czasie zrobić prześzoł godzinny przerwy na lotnisku w Ciampino i wyruszyć w dalszą drogę do Londynu.

Jaka była przyczyna obu tych katastrof? Czy spowodowane były niedbalstwem załogi, wadliwą budową samolotów, zbyt dużą szybkością? W morzu polemik prasowych, rozważań ekonomicznych, politycznych i strategicznych zapomniano o 51 zabitych, którzy stali się ofiarą żałosnej walki konkurencyjnej między brytyjskimi i amerykańskimi fabrykantami lotniczymi. Tajemnica zaś — jak zresztą większość „tajemnic” kapitalistycznej dzungli — jest znacznie prostsza niż by się to mogło wydawać i niż usiłuje to przedstawić zachodnia prasa.

W roku 1943 znana angielska fabryka samolotów De Havilland rozpoczęła doświadczenia nad nowym typem samolotu pasażerskiego o napędzie odrzutowym. 27 lipca 1949 r. pierwszy samolot typu „Comet I” wzbił się w powietrze. W pół roku później „Comet” oddany został do eksploatacji i rozpoczął służbę na linii Londyn — Johannesburg, a później Londyn — Sydney.

Prasa brytyjska zachłystywała się z zachwytem: po raz pierwszy od wielu lat produkcja angielska odniosła zwycięstwo nad konkurencją zza oceanu. Amerykańskie „Constellation”, a potem „Superconstellation” nie mogły wytrzymać konkurencji z nowym typem samolotu odrzutowego, którego przeciętna szybkość handlowa wynosiła 800 km/godz. „Albion” pogrzebił nareszcie wujka Sama — pisała z zachwytem prasa londyńska.

„Comet” stał się modny. Zamówili go angielskie linie lotnicze BOAC, holenderskie KLM, belgijskie „Samena”, francuskie „Air France”. Brytyjskie ministerstwo lotnictwa, ministerstwo skarbu, a przede wszystkim dyrektorzy De Havilland — zacierali ręce: zamówienia spływały jak z rogu obfitości, a wraz z nimi rosły zyski.

Nawet Watykan się „włączył”. W przeciwnieństwie do swego poprzednika Klemensa VII, który wyklął i ekskomunikował

wał „kometę” Halleya, Pius XII udzielił swemu apostołskiemu błogosławieństwa „komecie” De Havilland.

Podczas jednak gdy w Londynie panowała radość, w Waszyngtonie wiadomości o sukcesach „Comet” wywołały wściekłość. Senator Knowland (trusty lotnicze Douglas i Curtiss-Wright) zażądał w Kongresie wstrzymania wszelkich kredytów dla Wielkiej Brytanii. „My im dajemy pieniądze — wściekał się czcigodny rekin — a oni trwonią je na produkcję

wymiany doświadczeń” nie dotyczą firmy De Havilland.

Pod koniec lata 1952 r. akcje amerykańskich towarzystw lotniczych na giełdzie nowojorskiej zaczęły spadać na lew, na szyję. I wtedy właśnie zaczęło się. 26 października 1952 r. pierwszy „Comet” rozbił się wkrótce po starcie w Ciampino, 21 stycznia 1953 r. następna „latająca kometka” rozpadła się w powietrzu nad Entebbe po drodze do Johannesburga. 3 marca 1953 r. — następna katastrofa w Karachi.



Pogrzeb ofiar katastrofy samolotu odrzutowego „Comet”, który rozpadł się u wybrzeży wyspy Elby

jakichś tam samolotów cywilnych, którymi na domiar podrywają naszą pozycję w światowej komunikacji lotniczej”. Równocześnie zaś przewodniczący urzędu do spraw lotnictwa cywilnego USA, Donald Nyrop, domagał się budowy (na koszt państwa) odrzutowych samolotów komunikacyjnych, ponieważ „sprawa naszego honoru powinna być obroną pozycji amerykańskiego przemysłu lotniczego”.

A tymczasem sprawa nie była wcale taka prosta. Jak się bowiem okazało, nawet przy największych wysiłkach przemysł amerykański nie będzie zdolny wybudować prototypu takiego samolotu przed rokiem 1957. Sytuacja stała się fatalna: albo amerykańskie linie lotnicze zdecydują się zakupić angielskie samoloty, albo pozwolą się zdystansować towarzystwom europejskim, które zakupiły „Comety”.

Co gorsza — ukraść nie było co, gdyż plany odrzutowca nie stanowiły żadnej tajemnicy, a o odstąpieniu licencji „Cometa” nie można było marzyć, gdyż — jak wynikało z „przyjacielskich” rozmów prowadzonych przez attaché wojskowego USA w Londynie — brytyjskie ministerstwo lotnictwa grzecznie zasłaniało się nieśmiertelnym faktem, iż samolot nie jest wojskowy, a więc „zasady atlantyckie”

W dwa miesiące później — Kalkutta. Piąty wypadek wydarzył się w Dakarze. Szósty — znowu w Kalkucie. I wreszcie tragiczny wypadek w pobliżu Elby.

Następnego dnia w całej prasie amerykańskiej pojawiły się olbrzymie ogłoszenia: „Podróźnicze jedynie bezpiecznymi samolotami konstrukcji amerykańskiej. ...Jeżeli chcesz bezpiecznie dolecieć do celu twej podróży — korzystaj jedynie z samolotów gwarantujących całkowite bezpieczeństwo lotów... Pamiętaj o swoich najbliższych — tylko samoloty amerykańskie zapewniają ci bezpieczeństwo”.

Pod naciskiem opinii publicznej rząd brytyjski nakazał wyciąć samoloty typu „Comet” z komunikacji lotniczej, równocześnie zaś upoważnił min. lotnictwa, Lennox-Boya, do przeprowadzenia śledztwa. Do brzegów Elby udała się specjalna ekipa okrętów brytyjskich, które mają wydobyc spoczywające na głębokości 80 m. szczątki kadłuba „Cometa”. Jak do wódzka liczne odłamki tkwiące w wyłotach z morza zwłokach załogi i drzwiach samolotu — przyczyną katastrofy mogła być bomba zegarowa... Tyle na razie mówią fakty.

A w 7 tajemniczych katastrofach „Cometa” zginęło łącznie 168 osób.

JÓZEF SOLTYS

Droży Czytelnicy!

Pragnielibyśmy zapewnić naszych Czytelników, którzy pytają o wyniki konkursu świątecznego „Świata”, że prace nad segregowaniem odpowiedzi są już w pełnym toku, co tym razem nie jest rzeczą łatwą, ponieważ na konkurs wpłynęło ponad 30 tys. rozwiązań. Jest to niewątpliwie rekord w historii... „Świata”.

A oto kilka miłych słów z listów nadesłanych z okazji konkursu:

„Jestem studentem z Polski Ludowej w Instytucie Pedagogicznym im. Hercena w Leningradzie. Interesuję się prasą polską, którą tutaj otrzymuję. Prenumeruję i Wasze czasopismo „Świat”.

„Chciałem kilka słów powiedzieć na temat konkursu. Otóż niezmierznie jestem ucieszony tego rodzaju konkursem, który jest interesujący i pomysłowy pod względem tematyki. Przyznam się, że sprawił on wielką radość nie tylko mnie, ale i moim kolegom — cudzoziemcom, z którymi razem mieszkam w pokoju. „Świat” czytamy zawsze wszyscy razem. Chociaż nie każdy zna język polski — za to wszyscy umieją czytać ze zdjęć, których w czasopiśmie jest dużo, ciekawych i jasnych w treści. Resztę treści opowiadam ja.

„W rozwiązywaniu konkursu pomagali mi moi koledzy cudzoziemcy z wspólnego pokoju.

„I tak: Koreańczyk Ion Le Puh, widząc Koreańczyka w konkursie, od razu mi powiedział, że Polska wysyła dużo sprzętu i t.p. do Korei w ramach pomocy i pomógł mi tym samym literę „G” umieścić pod numerem 3. Z Rosjaninem — Kola Jewokimowem podarowaliśmy „Mein Kampf” senatorowi Mac Carthy. Władzio Wentruba (Czech) od razu poznał „bikiniarza” i szlachetnym gestem podarowaliśmy mu krawat w „amerykańskim stylu”.

„Niezmierznie jesteśmy zadowoleni z tego rodzaju konkursu i Waszego pisma. Nie wiemy, czy rozwiązałyśmy prawidłowo (trudności sprawiał „gadula” i „dygnitarz” itd.), ale sam fakt, że rozwiązałyśmy jakoś wspólnie i że dużo przypomnieliśmy sobie o życiu Polski — dał nam wiele zadowolenia. Się pozdrowienia z Leningradu”.

JAN ZANIEWSKI

„Przystępując do rozwiązywania Waszego konkursu pt. „Podarunki Świąteczne” pragnę wyrazić pewne życzenie w imieniu własnym i innych sympatyków „Świata” spośród robotników pracowników umysłowych Hut „Zabrze”. Otóż wydaje nam się, że „Świat” posiada zbyt mały nakład oraz bywa niezbyt równomiernie rozprowadzany do punktów sprzedaży. Np. w Zabrzu jest bardzo trudno otrzymać w kioskach numer „Świata”. Kioskarze twierdzą, że otrzymują z „Ruchu” dosłownie 3-4 egzemplarze, a chcących zakupić „Świat” zgłaszają się dziesiątki, a niejednokrotnie setki osób. W ten sposób „Światem” szczęśliwie zakupionym dzielimy się jak świątecznym opłatkiem. Doszliśmy więc do wniosku, że tylko stała prenumerata może nas uratować i zapewnić regularne czytanie „Świata”.

Prosimy o sprecyzowanie warunków prenumeraty w roku bieżącym i ogłoszenie ich w „Świecie”.

JAN PIOTROWSKI

Zabrze, ul. Wolności 313a

Warunki prenumeraty tygodnika „Świat” znajdziecie u dołu kolumny. Abonent może wpłacić listonoszowi lub w swoim Urzędzie Pocztowym.

„Piszę do Ciebie na takiej kartce to rozwiązanie świątecznego konkursu, ale dlatego tylko, by nie niszczyć numeru, bo ja zbieram i oprawiam roczniki — mam już także 2 tomy. W przyszłości zaś dla wszystkich zbierających byłoby dobrze wprowadzić takie kupony, które nie niszczyłyby tygodnika. Bylibyśmy za to bardzo wdzięczni, bo to i estetyczniej — przyjemniej mieć na przyszłość tak miłą pamiątkę w całości. Przesyłam również całej Redakcji najserdeczniejsze pozdrowienia”.

JERZY FISCHBACH

Najprostszym wyjściem z tego kłopotu jest przy rozwiązywaniu każdego konkursu w naszym piśmie — skopiowanie kuponu na osobnej kartce papieru. Przypominamy o tym zwykle w warunkach konkursu.

ŚWIAT

JESZCZE TRZY NAGRODY!!!

W myśl podanej listy nagród w konkursie „Świata — Orbisu” — nagrody II, III i IV są podwójne — wobec tego, oprócz osób wymienionych już w numerze poprzednim, równorzędne nagrody (II, III i IV) otrzymują po wylosowaniu następujący uczestnicy konkursu:

ANDRZEJ SNAWADZKI Z ŁODZI — 10-dniowy pobyt w pensjonacie I kat. w Krynicy,

ROMAN JUCHNIEWICZ Z OPOLA — 7-dniowy pobyt w pensjonacie w Zakopanem na Bystrem,

JADWIGA POCZEKAJÓWNA Z GORZOWA — 7-dniowy pobyt w pensjonacie w Bukowinie.

*

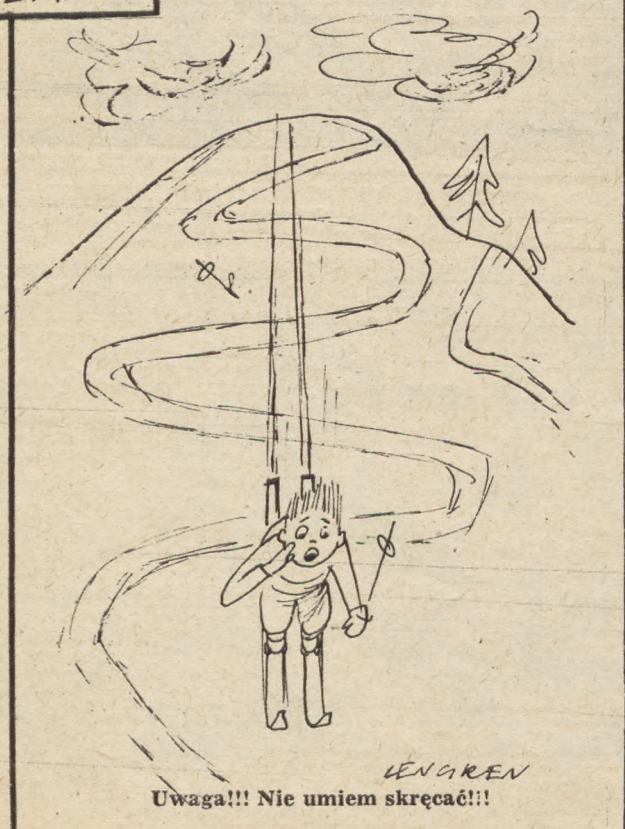
Wszelkich informacji dotyczących wcześniejszych wydań Państwowe Przedsiębiorstwo Ośrodków Wypoczynkowych „Orbis”.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.
Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.
Zam. Nr 71. Papier rotogr. V/80-82 cm — 5-B-11643
podpisano do druku dnia 10.II.54 r.

LENGREN



Uwaga!!! Nie umiem skrecać!!!

INDYJSKIE KSIĄŻKI

WATYKAN W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się niedawno polski przekład pracy M. M. Scheinmana — „Watykan w latach II wojny światowej”. Autor książki podkreśla w niej zbieżność celów Watykanu oraz monachijskich grabarzy Europy, ujawnia, iż Watykan w czasie wojny wydanie pomagał państwu ośli. Ta pomoc polityczna wzrosła szczególnie w okresie napaści hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki. Po klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem Watykan bierze żywy udział w spiskach przeciwko ZSRR, a w cblu kłeski Hitlera walczy o uratowanie resztek imperializmu niemieckiego.

Po rozgromieniu hitleryzmu Watykan nadal prowadził swą antyludową politykę, której celem jest ratowanie kapitalizmu. Kola watykańskie walczy przeciwko uchwałom Konferencji Jaltańskiej.

Scheinman demaskuje zakulisowe intrzygi Watykanu popierające ideę zawarcia przez państwa kapitalistyczne separatystycznego pokoju z faszystowskimi Niemcami. „Pokój” taki uratowałby reżim faszystowski i umożliwiłby zjednoczenie wszystkich reakcyjnych sił obozu kapitalistycznego do walki

przeciw ZSRR. Podane przez autora fakty świadczą niezbicie, że nienawiść do ZSRR oraz wrogość wobec ruchów wyzwoleniczych mas pracujących na całym świecie były głównym motorem poczynania Watykanu. (Stron 408, cena zł 9,60).

SZKICE Z DZIEJÓW ŚLĄSKA

Na półkach księgarskich ukazała się ostatnio bogato ilustrowana praca zespołowa historyków polskich, zatytułowana „Szkie z dziejów Śląska”.

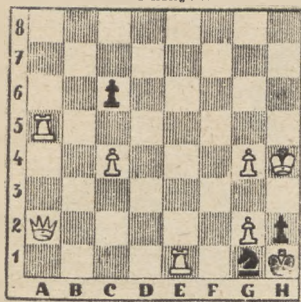
Książka ukazuje nam przykłady niezbitości polskości Śląska, opisuje zacięty opór mas ludowych, walczących o społeczne i narodowe wyzwolenie.

„Szkie z dziejów Śląska” mówi o prastarych pomnikach kulturalnych tej ziemi, o próbach zjednoczenia polskich kłstew Śląska w XIII wieku, o pierwszych polskich górnikach, o ich pracy i walce. Z treści zamieszczonych prac wynika też istotna różnica, jaka już w epoce feudalnej zarysowała się między postawą niemieckich klas panujących a postawą niemieckich mas ludowych Śląska. Chłop, czy drobny rzemieślnik niemiecki spotykał się na Śląsku zarówno z wyzyskiem feudalnym, jak i patrycjatu niemieckiego. Raniej przy ramieniu z polskimi masami ludowymi stawał wlec do walki przeciwko wyzyskiwaczom. (Str. 370, cena zł 12.—).

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

A. Gulajew



Mat w 3 posunięciach

PARTIA Nr 97

grana w finale ostatnich mistrzostw drużynowych ZSRR

Obrona sycylijska

Białe: Panow
Czarne: Sorokin

1. e2—e4 c7—c5 2. Sg1—f3 d7—d6 3. d2—d4 c5:d4 4. Sf3:d4 Sg8—f6 5. Sb1—c3 a7—a6

„Najmodniejsza” dziś kontynuacja w tej pozycji.

6. g2—g3 Gc8—g4 7. f2—f3 Gg4—d7

Czarne tracą wprowadzić gońcem tempo, ale utrudniają przeciwnikowi przeprowadzenie swoich planów, związanych z umieszczeniem gońca na g2 i atakiem pionami na królewskim skrzydle.

8. Gc1—e3

Białe zmieniły plan, starając się wykorzystać posunięcie f2—f3.

8... Sb8—c6 9. Hd1—d2 g7—g6?

Należało koniecznie grać 9... e6 i 10... Ge7

10. Sc3—d5!

Przydało się posunięcie f2—f3, dzięki czemu broniony jest pion e4.

10... Sf6:d5 11. e4:d5 Sc6—e5 12. h2—h3 Gd7—c8 13. f3—f4 Se5—d7 14. Gf1—g2 Gf8—g7 15. 0—0 0—0 16. Wa1—d1 a6—a5 17. Kg1—h2 Sd7—c5 18. f4—f5 Gc8—d7 19. Ge3—h6 Hd8—b6 20. b2—b3 Hb6—b4 21. Hd2—e3 Wa8—e8 22. Gh6:g7 Kg8:g7 23. Wf1—f4 Hb4—b6

Groziło 24. Se6+!

24. Wf4—h4 h7—h5 25. He3—g5 Wf8—h8

Inaczej 26. W:h5.

26. Wd1—e1 Hb6—d8 27. Sd4—e6+!

Teraz pozycja czarnych rozpada się.

27... Gd7:e6

Jeśli 27... f:e6, to 28. H:g6+

Kf8 29. f:e6 itd.

28. d5:e6 Wh8—h6 29. e6:f7

We8—f8 30. Wh4:h5 Wf8—h8

31. We1:e7 Sc5—d7 32. Wh5:h6

Wh8:h6 33. f5—f6+ i czarne

poddają się. Na 33... S:f6 nastąpiłoby 34. f8H+.

MECZ SZACHOWY

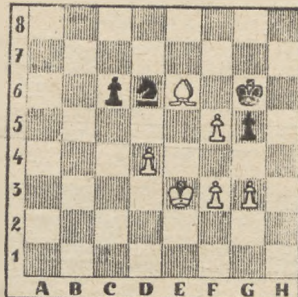
„ŚWIAT” — CZYTELNICY

W partii W1 nieznaczna przewagę uzyskało posunięcie 48... Sc8—d6 (55%) przed 48... Sc8—e7. W partii W200 94,3% Czytelników zdecydowało pchnąć dalej piona f:

48... f5—f4.

Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

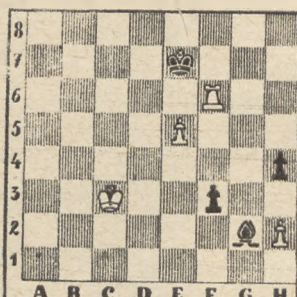
PARTIA W1



47. Wb8:c8 Se7:c8
48. Gc4:e6 Sc8—d6
49. e4:f5+

Przypominamy, że odpowiedzi na 49 posunięcie Redakcji należy wystąpić najpóźniej we wtorek 16 lutego br.

PARTIA W200



47. Wd4—d6 f5—f4
48. Kd3:c3 f4—f3
49. Wd6—f6

W POŁOWIE DRUGIEGO TYGODNIA

Dokończenie ze str. 3

Konferencja berlińska doszła więc do kluczowego zagadnienia sprawy niemieckiej i bezpieczeństwa Europy: do zagadnienia układu o armii europejskiej. Tu tkwi główna przeszkoda na drodze do zjednoczenia Niemiec, tu tkwi główne źródło napięcia międzynarodowego na odcinku europejskim. Dlatego delegacja radziecka tak gruntownie zajęła się problemem armii europejskiej, dlatego tak wiele wysiłku poświęciła, by rozwiać zasłony dymne, rozsnuwane wokół niego przez rzeczników mocarstw zachodnich. Pokojowe rozwiązanie sprawy niemieckiej możliwe jest jedynie i wyłącznie pod warunkiem wyzwolenia Niemiec od wszelkich zobowiązań o charakterze militarno-wojennym. A taki właśnie charakter mają układy w Paryżu i Bonn. Zjednoczenie Niemiec musi być dokonane w taki sposób, by siły, które ściągnęły na ludzkość dwie wojny światowe, nie miały więcej głosu w sprawach wewnętrznej czy zagranicznej polityki Niemiec. Te siły właśnie kurczowo trzymają się dziś układów o armii europejskiej. Są przekonane, że tą drogą znowu wezmą górę w Niemczech. Nie miałyby one, rzecz prosta, nic przeciwko temu, by całe Niemcy znalazły się w orbicie układów o armii europejskiej. I to właśnie mają na myśli, gdy mówią o zjednoczeniu Niemiec. Takie też zjednoczenie przypadłoby bardzo do smaku ich protektorom wasyngtońskim.

Ale siły demokratyczne Niemiec, których rzecznikiem jest rząd Niemiec-

kiej Republiki Demokratycznej przeciwstawiają się zdecydowanie tym dążeniom bońskiej kliki militarystów i odwetowców. Ale siły pokoju na świecie, których rzecznikiem na konferencji berlińskiej jest delegacja radziecka, nie dopuszczają, by nad światem znowu zawisnąć miała zmora, tułająca się dziś po ekranach kin zachodnio-berlińskich, wyświetlających film o Hitlerze.

Trudno się bawić w prorocтва pisząc o konferencji berlińskiej w połowie drugiego tygodnia jej trwania. Organizatorzy „zimnej wojny” nie poniechali niczego, by w oświetlaniu konferencji berlińskiej na łamach prasy zachodniej górował ton sceptyczno-pesymistyczny. Nie ulega wątpliwości, że konferencja ujawniła duże różnice w stanowiskach uczestniczących w niej mocarstw. Jak już wielokrotnie wskazywano w prasie postępowej i demokratycznej — gdyby nie było tych różnic, nie byłaby potrzebna i ta konferencja. Ale już sam fakt, że konferencja doszła do skutku i to, że sformułowano na niej zasadnicze stanowiska mocarstw ma ogromne znaczenie na przyszłość.

W kulisach konferencji mówi się otwarcie, że delegacja amerykańska ma z góry przygotowane rozmaite preteksty, by w dogodnym momencie móc pod ich pozorem zerwać obrady. Ale z każdym dniem trudniej będzie takiego pretekstu użyć. Gra byłaby zbyt przejrzysta, ryzyko jej rozszyfrowania zbyt wielkie. A koszty, zwłaszcza jeśli chodzi o opinię publiczną krajów Europy zachodniej, mogłyby być wręcz rujnujące. Nie zapominajmy, że Mr Dulles dlatego zgodził się tu w ogóle przyjechać, że chciał poprzez Berlin wymusić na Francji ratyfikację układu o armii europejskiej. Zrywając konferencję przegrałby niezawodnie i tę stawkę. Nie tylko zresztą tę.

STEFAN ARSKI

W dzisiejszym odcinku naszego działu pokazujemy trzy suknie wełniane, przydatne na wszystkie pory roku (oczywiście z wyjątkiem upałów). Model u góry jest bardziej strojny — wizytowy. Dwa modele u dołu są natomiast skromniejsze i mają tę ogromną zaletę, że można je szyc także z każdego innego materiału — do kretonu włącznie.

W pierwszym modelu (u góry) należy zwrócić uwagę na pasek i duże kieszenie; suknia ta jest zapinana z tyłu.

W dwóch pozostałych modelach dużą rolę odgrywa krój i wykonanie, bo chociaż — jak już na początku powiedzieliśmy, suknie te są skromne, prosta ich jest jednak pozorna i wymaga doskonałego kroju. I jeszcze jedno — suknie te nadają się tylko dla kobiet bardzo szczupłych.

TANIO i ŁADNIE



KULISY i KULUARY

Dokończenie ze str. 3

Oczywiście, że nie wszyscy korespondenci zagraniczni są nieczuli na propagandę Bonn. A zwłaszcza ci, których przysłano właśnie po to, aby pomogli swoim bońskim sojusznikom na odcinku „kruczaty pesymizmu”. Prasa demokratyczna opowiada kapitalną historię o wizycie grupy dziennikarzy amerykańskich w jednym z robotniczych mieszkań w Alei Stalina. Ośmieszili się przy tym co niemiara! Małżeńska para robotników zaprosiła ich do swego mieszkania, aby mogli się przekonać jak żyją robotnicy na wschodzie Berlina. Dziennikarze byli zaskoczeni tym, co na własne oczy zobaczyli. Zamiast nory, czy izby piwnicznej, ujrzeni mieszkańcy przyzwoicie umeblowane z ładną kuchnią z zimną i ciepłą wodą. W domu winda, spalarnia śmieci... Te-

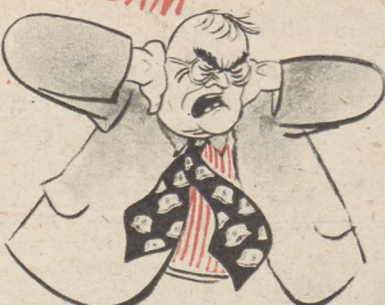
go już było za wiele dla dziennikarzy z USA. Jeden z nich nie wytrzymał dłużej i powiedział do rodziny niemieckiej, która go zaprosiła: „Możecie nam wszystko wmawiać. Ale my wiemy dobrze, że to wszystko co u was teraz widzimy dano wam tylko na okres konferencji berlińskiej. Nas nie oszukacie! Znamy się na takich trikach propagandowych”. Robotnicy odpowiedzieli im serdecznym śmiechem. „Tak serdecznie dawno się już nie ubawiliśmy!” — powiedział reporterowi „Berliner Zeitung” — i dawno nie widzieliśmy takich głupców...”

Czy głupców — to inna kwestia. Ale, że ci korespondenci amerykańscy się kompletnie ośmieszili w oczach robotników Berlina to fakt, który odczuli oni w kilka dni później na własnej skórze. Mike Boerner, polityczny dyrektor w urzędzie wysokiego komisarza USA w zachodnich Niemczech (warto zaznaczyć, iż jest on bratankiem sanacyjnego ministra poczty Boernera) odbywa „małe konferencje” prasowe dla ścisłego grona amerykańskich korespondentów. Na jednej z takich „odpraw”, Boerner zwrócił uwagę dziennikarzy amerykańskich, aby byli ostrożni z wypowiedziami, o ile nie chcą narazić siebie i władz amerykańskich w Niemczech — na śmieszność.

MARIAN PODKOWIŃSKI

Berlin 1954

JAĘTA-POCZDAM



Foster Dulles: Ja wolę Bonn i Paryż!!

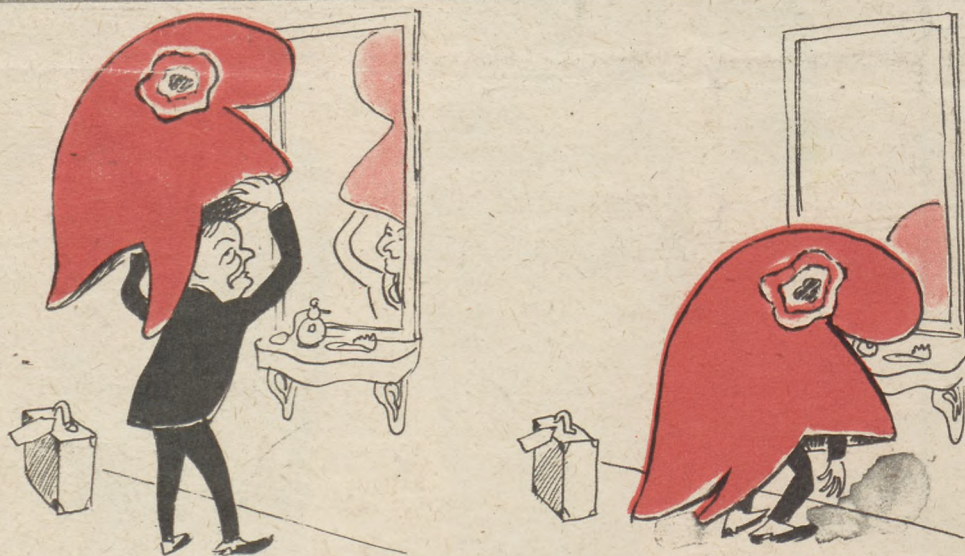


Amerykańskie konferencje prasowe odbywają się w lokalu Akademii Sztuk Pięknych.

— Co to za bohomaż?
— Nie widzisz? — Amerykański projekt zjednoczenia Niemiec.



ATLANTYCKA ŁÓDZ
— Coraz trudniej płynąć przeciw prądowi...!

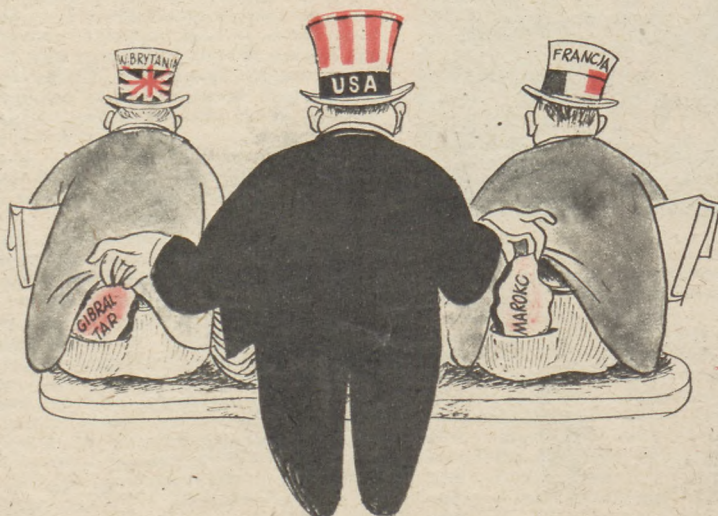


Jadę reprezentować... naród francuski!...

Hotel „am ZOO”



Sztab dywersji adenauerowskiej w Berlinie rezyduje w hotelu „Am Zoo”...



Partnerzy...



Mocarstwa zachodnie odrzuciły radziecką propozycję wystuchania głosu Niemców.

Rys. KAROL FERSTER